

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II
Łódź 12 lipca
1959 roku

NR 28 (72)

CENA 1 ZŁ

ZWIERZYŃCIECKI
ARSENAL — str. 10



Od dziś na naszych
lamach. Patrz str. 3



Podłowickie
Eldorado

Reportaż prawie
detektywistyczny —
czytaj na str. 5

Korespondencja własna
z Paryża — str. 8



Kryptonim „GRUBA”
— str. 6 i 7



Uprzejmy do prze-
sady ale przysiąc
mogę, że choć idzie
na rękę wciąż pod-
stawia nogę

— to jedna z fraszek
Jana Czarnego, o których
czytaj na str. 11

KONRAD FREJDLICh
i MAREK REGEL

EFEMERY

Inżynier ma rację. Nasłuchaliśmy się od starych robotników, że młodzi „rezerwa”, to tylko na papieroska chcą. Pójdzie niby na siusiu i godzinę nie wraca. Obija się z kąta w kąt, bo mu i tak płacą 1200 zł. I zresztą, czy taki rodzinę utrzymuje? U ojca siedzi, swoje odrobi i forsa leci.

Ale inżynier inaczej. Inżynier obiektywnie... Młody czy stary w rezerwie się obija. Bo organizacja pracy nawala. Czasem młody z rezerwy stara się. Bo maszynę chce dostać, żeby swoje „kila” odrabiał. W brygadach młodzieżowych starają się, nawet ładnie. Taki Zys, Pieńkowski, Grzelak, wyniki mają do-

bre. I medale dostają. Grzelak mieszkanie w blokach dostał na Obr. Westerplatte. 52 metry. Pokój i kuchnia. Oni wiedzą czego od życia chcą. A czy to młodych wina, że nie zawsze wiedzą? Starsi na produkcję tylko patrzą. Kila i kila. O wychowaniu nikt nie myśli. A tutaj trzeba „cierpliwie ale sta-

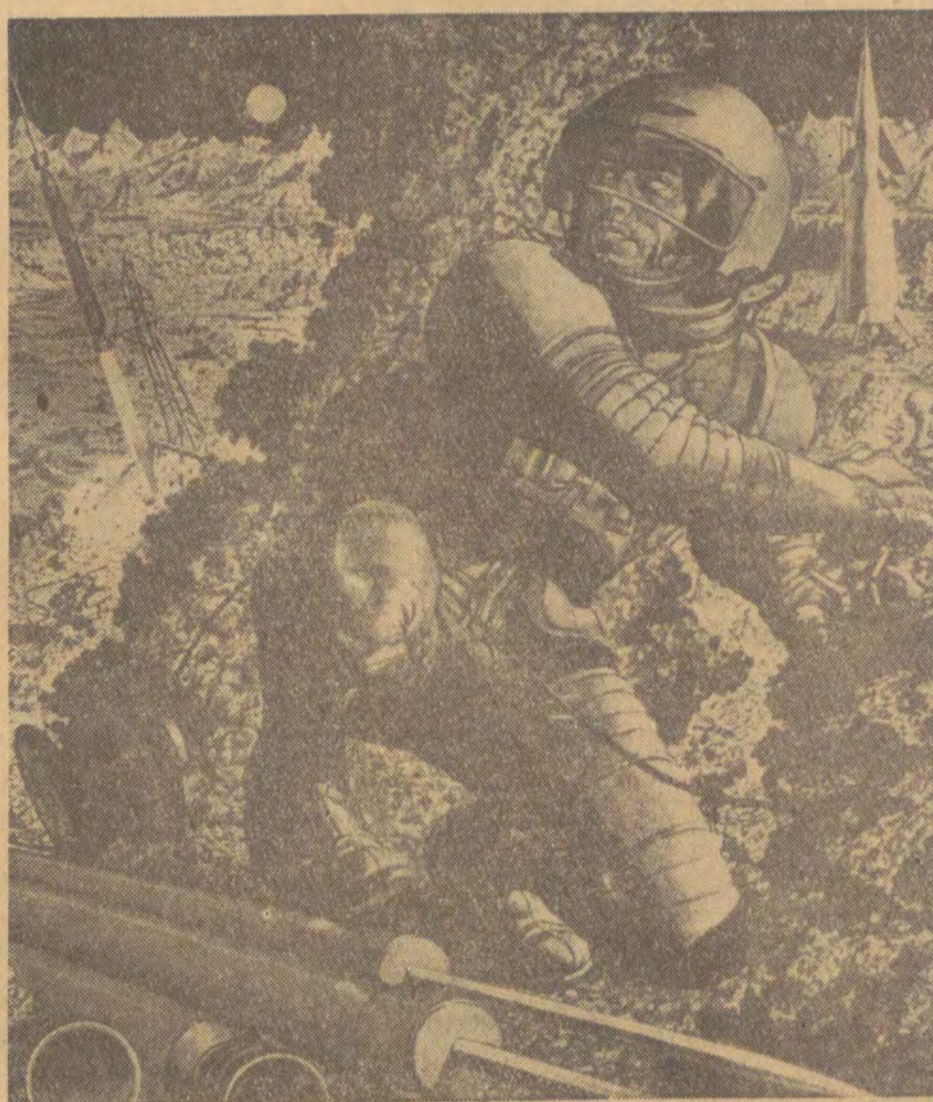
nowczo”. Nawet „Trybuna Ludu” o tym pisze (Jan Adamowski w nr. 194). Przeczytaliśmy, poszliśmy. Portier nas w wejściu obmacał. „Dziennikarze, ale kto tam wie”. Kolega Kłazyński z nami chodził. Zakład swój choć młody zna. W „Marchlewskim” ładnych parę lat już robi. Towarzysz Staniszewski z Rady Zakładowej z początku w kłopotcie był. Bo sekretarz ZMS gdzieś tam wyjechał. Aż sobie o Kłazyńskim przypomniał. Kłazyński przyszedł. Usiedliśmy sobie, pogadaliśmy. „Marchlewski” turkotał, szyby się trzęsły. A no, produkcja. Produkcja naj-

nowczo”. Nawet „Trybuna Ludu” o tym pisze (Jan Adamowski w nr. 194). Przeczytaliśmy, poszliśmy. Portier nas w wejściu obmacał. „Dziennikarze, ale kto tam wie”. Kolega Kłazyński z nami chodził. Zakład swój choć młody zna. W „Marchlewskim” ładnych parę lat już robi. Towarzysz Staniszewski z Rady Zakładowej z początku w kłopotcie był. Bo sekretarz ZMS gdzieś tam wyjechał. Aż sobie o Kłazyńskim przypomniał. Kłazyński przyszedł. Usiedliśmy sobie, pogadaliśmy. „Marchlewski” turkotał, szyby się trzęsły. A no, produkcja. Produkcja naj-



Von Braun o locie na Księżyc

W poprzednim numerze zamieściliśmy początek tej interesującej opowieści, dziś na str. 4 ciąg dalszy



pierw, kultura potem. Pieniążki są, powiedzić można, 30 patyków dali. Klub Młodzieżowy jest. Dyrektor Nowak załatwił. Dusza człowiek! Ale instruktora nie ma. A tutaj człowiek i na potańce by chciał przyjść i kawy się napić, i w karty zagrać.

A przyjdzie się, to często wisł „remanent”. Drzwi zamknięte, nikogo nie ma. Bo jak ktoś pracuje, zalatany, to czy może dopilnować? A instruktora zespół by zrobił, robotę poprowadził. W innych fabrykach tak jest. Każdy by do Klubu przyszedł. To i ZMS by się rozwijał. A tak to tylko 210 osób należy. Albo takie wezasy. Parę miejsc jest na zakład. A można by z wojska namioty pożyczyć. I rozbić gdzieś nad rzeką albo jeziorą. Parę złotych by kosztowało. A pożytek by był. A młodzi się starają. Na „lipca” 2678 kilo przędzy nad plan wyrobili. A to pieniądze są. 67.968 zł.

No i pogadaliśmy sobie, a potem do hal poszliśmy popatrzeć. A tam maszyny stare. Cara pamiętają. Ale teraz nowe się zakłada. Za kilka lat będzie nie ta sama Łódź.

...Czy wolno dopuścić, by nową, cenną maszynę, częstokroć zapłaconą dewizami, obsługiwał nieuk?... — pisał Adamowski w „Trybunie”. No więc popatrzeliśmy, pogadaliśmy z robotnikami i do nauczycielki poszliśmy. Nauczycielka starsza pani, sympatyczna. Po belfersku na nas spojrziała. Ale co tam. Nauczycielką jest. Prawo ma. Ale ona zaraz o dziennikarzach. Jak to

Dokończenie
na str.
6

BICZOWNICY W PŁONĄCEJ MGLE

ANDRZEJ NORBERT

Rzecz o mydle i hydroterapii

Powoli, powoli... Jeszcze trzeba innych doznać męczarni, nim się biczowanie zacznie.

Przed wszystkim w ciągu minuty należy umieć się znaleźć w innej, zupełnie innej, niż ziemskiej, atmosferze.

Zdejmowanie ubrań to zawsze wyzwolenie, a więc uczucie przyjemne, poza wypadkiem, gdy rozbierać się każe ci złodziej w ciemnej ulicy.

Tutaj złodziei nie ma. Z dusznej, zapchanej pekami kurzu ulicy wkraczasz w piekielny „gorąc” — gorętszy niż pod zwrotnikiem.

Już w starożytnym Rzymie... Nie! Powiedz, czy tutaj naprawdę obchodzi cię starożytny Rzym? Wiadomo: laźnie były miejscami spotkań filozofów, polityków, mówców. Przebywali tam całe dni, czas spędzając na dysputach, na sporach żąrtach, na rozmowach o sztuce. Młodzi chłopcy o kształtach wdzięcznych efebów cieszyli dusze szacownych egzorcystów.

Tak, bo na egzorcysty tajemnie zakrawają niektóre

z — ważniejszych poruszeń, które się w parze czyni. Tylko, hola — nie tak prędko wejdiesz do pary, ty, który zdecydowałeś się przekroczyć prógi piekielnego królestwa czystości. Najpierw, wyzwolony ze szmat, którymś swój srom przed bezlitosnym osadem ulicy przykrywasz, kierując kroki do pierwszej kaźni, do tak zwanej „suchej pary” jak mówią łodzianie, a mówią źle, bo para jest z wody, więc nie może być sucha, a jak już coś jest suche, to nie jest para.

Para nie para, temperatura w pokoiku pod szkiem dochodzi osiemdziesięciu celcjuszowych stopni, oczywiście plus. Pod ścianami skrzypią z gorąca łoża drewniane, a usiąść na nich nie można, bo gwoździe lby wystawiają i parzą. Chwytasz więc długą, szeroką deskę, wybiegasz pomóc ją w strumieniu zimnym, i

Dalszy ciąg
na str.
2

Prof. Władysław Raczkowski



W środę, dnia 1 lipca 1959 r. zakończył życie znakomity artysta i pedagog Władysław Raczkowski — profesor zwyczajny i dziekan wydziału wokalnego Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi oraz dyrektor artystyczny Opery Łódzkiej.

Dojrzałość artystyczną Władysław Raczkowski osiągnął bardzo wcześnie, rozpoczynając już w 15-tym roku życia samodzielną pracę muzyczną. Charakterystyczną dla jego indywidualności wszechstronność uzdolnień muzycznych znalazła wyraz w wyjątkowo bogatej i wielokierunkowej działalności.

I tak — przez długie lata — bliższy Raczkowski na tle naszego życia muzycznego jako pianista i akompaniator, współpracując z najwybitniejszymi artystami polskimi i zagranicznymi (Földessy, Moodie, Marteau i inni) i reprezentując naszą sztukę na terenie międzynarodowym.

Jako jeden z najwybitniejszych w dziejach muzyki polskiej dyrygentów chóralnych i specjalistów w dziedzinie literatury wokalne — wystawia w Filharmonii oraz Konserwatoriach Warszawy, Poznania, Łodzi i Bydgoszczy wiele najznakomitszych pozycji polskiej i światowej literatury oratoryjnej i kantatowej: Bacha, Mozarta, Pergolesiego, Beethovena, Mendelssohna, Brahmsa, Szymanowskiego.

W rękach prof. Raczkowskiego spoczywa długie lata kierownictwo artystyczne Wielkopolskiego Związku Kół Śpiewaczych i wielu chórów zawodowych i amatorskich. Ta praca nad chórami była prawie pionierska, i niewąt-

pliwie odegrała poważną rolę jako czynnik upowszechnienia kultury muzycznej. W r. 1929 należał Raczkowski do głównych organizatorów Wszechrównińskiego Zjazdu Śpiewaczego w Poznaniu. Na Zjeździe tym dyryguje chórem złożonym z 20.000 śpiewaków.

Trwale owoce dała również jego znakomita i nieustrudzona działalność pedagogiczna. Przez czterdzieści lat pozostawał na stanowisku wykładowcy przedmiotów teoretycznych i kierownika chórów i zespołów wokalnych w konserwatoriach warszawskich, poznańskich i łódzkich i w szkole bydgoskiej.

W dziedzinie oryginalnej twórczości pozostawił Raczkowski w swojej tece kompozytorskiej pieśń chórów i solowe, kantatę „Apoteoza”, muzykę do „Burzy” Szekspira i „Igraszek z diabłem” Drdy. Opracował też wspólnie z Kazimierzem Sikorskim — muzykę do widowiska „Gody Weselne” wystawionego przez Leona Schillera.

W roku 1952 z Jego wiary w sztukę i wysiłku twórczego zrodziła się Opera Łódzka. Włożył w nią Profesor cały entuzjazm artystyczny, biorąc na swoje barki niezwykle kłopotliwy w warunkach prowizorium trud kształtowania oblicza muzycznego nowej placówki.

Wszystkie zalety osobiste prof. W. Raczkowskiego wystąpiły raz jeszcze w dniach zmagania z chorobą, kiedy to — dosłownie na parę godzin przed śmiercią — wykazywał niezmierną troskliwość nie tylko o swoich bliskich ale i o swoją Operę i o swoją Uczelnię.

O dziwo, Belfer ma słów kilka do powiedzenia o prawdziwej szkole. Takiej zwykłej, podstawowej, którą siedmioletni uczniowie właśnie skończyli.

Do redakcji wszystkich chyba pism nadchodzą listy: „Jeśli się nie, mogę dostać do szkoły filmowej bez tej matury, to proszę o adres Fryzjerskiej”.

„Podajcie mi, gdzie jest szkoła fototechniczna, bo chcę zostać fotoreporterem”. Albo: „Napiszcie mi adres jakiejś szkoły, do której można by chodzić”.

Aby wyprodukować fachowców z prawdziwego zdarzenia, nie wystarczy, okazuje się, wybudować 1000 szkół. Pozostaje bowiem otwarty problem, kto do tych szkół przyjdzie. Młodzi ludzie z określonym zamiłowaniem i powołaniem, czy przypadkowo przychodnie z ulicy.

Sprawa ta waży ogromnie w momencie rozpoczynania nauki w szkole średniej. Daje też o sobie znać przy okazji corocznego przyjmowania maturzystów na studia.

W zasadzie większość statystyczna młodzieży obiera przyszły zawód z chwilą ukończenia szkoły podstawowej. Dzieje się to w sytuacji kiedy nie, lub prawie nie, wie ani o tym, jakie istnieją zawody, ani czym je się je. Problem ten narasta wraz z pogłębianiem się społecznego podziału pracy i mnożenia się ilości zawodów i specjalności.

Młody człowiek, który nie odróżnia reżyserii od fryzjerstwa, o istnieniu takich zawodów przynajmniej słyszał. Są setki co najmniej zawodów, o których nie słyszał i słyszeć nie mógł.

Owemu problemowi wiedzy o zawodach towarzyszy kwestia autoanalizy własnych zdolności i upodobań. Rzecz, która tyłu kłopotów nastęrcza maturzystom, tym bar-

Nasza szkoła

FRYZJER? czy REŻYSER?

dzie jest trudna dla czternastoletków. Albowiem jest to wiek, w którym bądź nie ma się żadnych upodobań, bądź ma się upodobania dziecinne, nieautentyczne, przemijające: aktor, lotnik, marynarz. Ścisłe sprecyzowane zdolności nie miały okazji się ujawnić. Kalkulacja życiowa jest sztuką zbyt trudną. Jednym słowem wali się na chybił trafił do pierwszej lepszej szkoły i bądź do końca życia wykonuje się bez entuzjazmu i specjalnego talentu zawód, który wybrał przypadkiem, bądź też po czasie zmienia szkoły, idzie się na studia w kierunku nie mającym nic wspólnego z dotychczasową nauką — czyli marnuje czas i państwowo środki na kształcenie itd.

Tak potrzebna tu ingerencja z zewnątrz jest nadzwyczaj utrudniona. Nauczyciele, a tym bardziej rodzice, mają wiedzę o zdolnościach ananasa dosyć ogólnikową: „zdolności humanistyczne”, „zdolności techniczne” — to w dzisiejszym świecie nic już nie znaczy.

Istnieją oczywiście poradnie psychotechniczne. Nie znam cyfr. Przepływa przez nie wszakże tylko ułamek procenta młodzieży. Zazwyczaj trafiają tam tak zwane elementy trudne.

Postulat przepuszczenia wszystkich absolwentów szkół podstawowych przez fachowy aparat poradnictwa psychotechnicznego — jest oczywiście postulatem na wyrost. Ani nie ma po temu kadr ani środków finansowych.

Śmiem jednak twierdzić,

że środki takie znaleźć się powinny — albowiem to nie wydatek — to oszczędność. Odsiew, produkcja pseudofachowców, fluktuacja od zawodu do zawodu, to rzeczy stokroć kosztowniejsze.

O ile w przyszłości rzeczą sensowną byłoby gwałtowne zwiększenie ilości fachowców i samych poradni, o tyle do czasu można by zaangażować do takiej sezonowej pracy ad hoc przyuczonych nauczycieli szkół średnich, którzyby pracowali pod kierunkiem fachowców.

W pierwszym okresie można by objąć badaniami gdzieś połowę uczniów klas siódmych, tych wykazujących najmniej zdecydowania, bądź też takich, którzy podjęli niezbyt realne decyzje. Nie mitologizuję tu znaczenia badań psychotechnicznych ani nie absolutyzuję ich możliwości w kwestii wykrywania uzdolnień i opodobań. Rydz wszakże zawsze jest lepszy niż nie.

Sprawa, jako się już rzekło, dotyczy nie tylko absolwentów klas siódmych, lecz również maturzystów. Tam wszakże poddać można badaniom mniejszy odsetek abiturientów. Wynik badań psychotechnicznych dołączony do akt kandydata na studia wyższe mógłby być brany pod uwagę przez komisję egzaminacyjną szkół akademickich.

Owe dosyć konkretne a mało felietonowe uwagi podsuwa mi ogólna sytuacja na rynku pracy w Polsce.

O ile w odniesieniu do ludzi starszych przypadkowość obranego zawodu lub rodza-

tu wykonywanej pracy jest wytłumaczalna historycznie (niemożność kształcenia się, awanse wynikłe z układu stosunków politycznych, powojenne anomalie kształtowania się rynku pracy itd.) — o tyle jest mniej wytłumaczalna w odniesieniu do przynajmniej dziesięciu ostatnich roczników, które wkroczyły na rynek pracy.

Praca, zawód, są na tyle ważnym dla każdego człowieka elementem życia, w ogóle, wybór zawodu ma na tyle charakter wyboru nieodwracalnego, a zależy od niego często i poziom i styl życia, i upodobania, i tak wiele — jednym słowem — że nie jest rzeczą zdrową ani dla społecznego procesu produkcji, ani dla indywidualnego planowania, sytuacja, w której wyborowi kierunku kształcenia się, a więc w konsekwencji wyborowi zawodu poświęcamy mniej czasu i wysiłku, niż wyborowi miejscowości, w której mamy zamierzać spędzić urlop.

Nie mam do dyspozycji żadnych materiałów statystycznych, nie istniały w tej kwestii żadne badania socjologiczne, ale wiem z rozmów z ludźmi, z jakimi kiedykolwiek przyszło mi rozmawiać — z rozmów ze znajomymi stałymi i przypadkowymi, że ogromna większość tych ludzi nie jest zadowolona ze swojej pracy.

Oczywiście owo częste niezadowolenie ma rozmaite przyczyny. Na pewno jednak jedną z kluczowych jest prosperująca u nas mechanika obioru zawodu.

Połowę nieprzesypanego życia spędzamy w pracy. Nie wiele jest tedy w życiu rzeczy ważniejszych ponad to, jaka to będzie praca. Że nie wspomnę już o skutkach społecznych faktu, iż filmy i samochody częstokroć robią ludzie o zamiłowaniach fryzjerskich i vice versa.

BELFER.

BICZOWNICY W PŁONĄCEJ MGLE

ANDRZEJ NORBERT

Dalszy ciąg ze strony 1

wtedy możesz się kłaść i drzeć z chłodu, bo kiedy upał doбира się twego ciała, to chłód czujesz, chociaż odczekasz wszystkim, coś w życiu niepotrzebnego wypł.

— Gimnastyki niech pan nie robi — mówi grubo,

łyśy jegomość, a szczegółowiej go nie opiszę, bo facet nagi, jeszcze by siebie rozpoznał i miałby do mnie pretensje. Mogę tylko w tajemnicy dodać, że miał złoty, zab.

— Gimnastyki nie — powiada do drugiego, który przyparzony mało nie wrzeszczy, i kuca, i macha rękami, w przekonaniu, że to coś pomoże.

— Zdrowia pan sobie nie dodasz, tylko serce osłabisz.

Ciało musi leżeć nieruchomo, wtenczas każda pora się otworzy jak się należy. Długo tu nie można siedzieć, dziesięć, piętnaście minut... A jeszcze, jak kto na serce słaby...

— Uuu! — zawył ten drugi i wyskoczył z piekła. Sparzył sobie rękę o kłamek, stopy o kafelkowa podłogę, bo zapomniał trepy złożyć, ale wyskoczył. Z tamtej strony drzwi sterczy ze ściany „bicz wodny”, z którego wali iglasty ciekły lód.

— Panie, co pan robi! — krzyczy do faceta drugi, grubo. Tych grubych tu pełno, fak raz na miesiąc trafił się chudy, to święto. Wiec ten grubo:

— Z suchej pary pan wyszedł i p d bicz? Krew panu zamarznie. Nie będzie



pan mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Paraliż. Cała krew, to jeden skrzep się zrobił — krzyczy grubas, przejęty, jakby to o jego krew chodziło.

Facet przestraszony ucieka spod bicza, choć już się zdążył opukać i mu krew nie stępnęła. Tak, tak, teorię medyczną to tu ludzie mają, nie ma co mówić. Bo tu ludzie przychodzą nie myć się, tylko leczyć.

— Ho, ho, panie — powiada trzeci grubas — kłoby za mycie płacił dwanaście złotych. Umyć to się można w wannie za trzy. Tu jest, panie, hydroterapia!

A podchodzi jeszcze jeden grubas, lysy, ale na głowie ma stary filcowy kapelusz, model pasterski. Przed chwilą lał na ten kapelusz zimna i gorąca wodę, bez obawy, że mu się lysina sparzy, czy przeziębii, a teraz mówi:

— Za każdym razem, jak tu przyjdę, tracę dwa albo trzy kilo. I czuję się jak dopiero co urodzony,

Oplaci się? — Pyta mnie, czy się oplaci, ale m.n.a i gestem wskazuje, że powinienem, że muszę mu przytaknąć, bo z oczu widać, że każde deko wagi ma dla niego olbrzymie znaczenie.

Tak mi się wydaje, że jeśli ci ludzie na coś zachorują, to zachorują na „tuszcz”, że jeśli na coś umra, to na „tuszcz”. Oto skutki codziennego lenstwa. Woleli pewnie ci facci, w ciągu całych lat, codziennie parę minut dłużej spać, niż zrobić kilkadziesiąt przysiadów, pogiąć się, pomachać rekami... Woleli grać w karty do urlopowym o-biedzie, niż grać w siatkówkę. No i tak ich własne jedzenie wzięło w niewolę. A teraz przychodzą się tu leczyć.

Zanim na miejsce kaźni poidziemy, trzeba zrobić coś, żeby się każda pora otworzyła! A więc już w sali, gdzie zwykła prawie

(Dokończenie na str. 7)



Tekst i zdjęcia:
ANDRZEJ
WIESŁAWSKI

K O M I N Y

Sumujemy sobie minione piętnastolecie, liczymy nowe zakłady produkcyjne, elektrownie, obiekty użyteczności społecznej, teatry, gazociągi i nawet nie zauważamy, że w ciągu tego 15-lecia, a ściślej mówiąc ostatnich 5 lat, staliśmy się świadkami pierwszego etapu prawdziwej rewolucji w przemyśle łódzkim. Czekaliśmy na nią całe pokolenia włóknarzy. Może nikt nie śmiał marzyć o tym... a jednak powoli kominy łódzkie przestają dymić. Być może za lat kilkanaście znikną już z Łodzi. Energia potrzebna do poruszania maszyn płynie do zakładów z elektrociepłowni łódzkiej. O niej też słów parę.

Był czas, kiedy budowa i przeżywała swoje piękne, sławne lata. Potem wzięło się o słusznosci umiędzycowienia obiektu energetycznego w tej części miasta. Nie brakło takich argumentów, że nie ma tutaj wody, mówiono, że wiatry zachodnie zgarbią będącym z kominów na miasto. Były i są narzekania na tempo rozbudowy sieci ciepłowniczej. A mimo to rozpoczęła w roku 1955 inwestycja już w grudniu 1957 r. oddała pierwsze kilowatogodzinny energii elektrycznej. Ruszyły 3 kotły i 3 turbogeneratory. Do 10 czerwca br. wyprodukowano ponad 300 mln kilowatogodzin energii, 82 tys. gigakalorii ciepła. 19 czerwca załoga EC II wykonała swój plan półroczny, dając dodatkowo ponad 11 mln kWh o wartości 604.800 zł i ponad 38 tys. ton pary technologicznej o wartości miliona złotych. Zoszczędzono ponadto 3.546 ton węgla, co w przeliczeniu na złotówki daje 1.028.000 zł.

EC II pracuje i rozbudowuje się w dalszym ciągu.

TRUDNY ROK

Ostatni rok budowy otrzymał taką właśnie nazwę wśród inżynierów budujących obiekt. Rozbudowa zakładu, który w części swojej jest już eksploatowany, to nie łatwa sprawa. A dodajmy, że ta olbrzymia inwestycja wymaga wielu współwykonawców, znakomitej koordynacji ich działalności. Jeśli z tą ostatnią nie wszystko jest jak należy, określenie „trudny rok” należy uznać za prawdziwe.

Na rok bieżący przewidziano uruchomienie turbosopół nr 4 i 5. Do pierwszego z wymienionych rurociągów dostarczyć miała Fabryka Kół w Raciborzu. Dopiero w ostatnich dniach dyrektor inż. Rytwiński mógł powiedzieć, że brakuje tylko 25 proc. rur. A gdyby te części w swoim czasie były na miejscu, turbosopół nr 4 mieliśmy już w eksploatacji. Tymczasem — jak się zdaje — najpierw uruchomiony będzie turbosopół nr 5, bo dostawcy części tego urządzenia, kontrahenci zagraniczni, spisali się dobrze. Niestety, znów pod znakiem zapytania staje termin dostarczenia generatora z Zakładów M 5 we Wrocławiu.

Kocioł nr 4 miał być uruchomiony w grudniu ub. roku — ruszy przypuszczalnie we wrześniu br. Powód — znów opóźnione dostawy i niska jakość urządzeń. Można sobie wyobrazić ile do-

datkowego kłopotu przysparza zastawienie elementów kotła, skoro w złotowskich sprawach wygląda tak ogólny koszt montażu kotła o piecu na same 2.300 tys. zł, a koszty robot dodatkowych, jeszcze nie ujętych — 850 tys. zł. Termin oddania opóźniono z tych przyczyn już o 9 miesięcy. Ten polski

wciąż spostrzega się jakieś wady. Za wysoki jest w ogóle koszt eksploatacji. Wreszcie, czy planowana wydajność zmieściłaby podoba zapotrzebowaniu? Wszyscy twierdzą, że nie. Teraz tylko kwestia — o ile, i co dalej?

TRZY SŁOWA OPTYMIZMU

Ponarzekałszy sobie trochę, ale tak chyba powinien robić od czasu do czasu każdy sumienny gospodarz, kiedy sięga pamięcią wstecz. Takie to są i wcale nie wszystkie sprawy „trudnego roku” EC II. Fakt pozostaje jednak — faktem: Elektrociepłownia pracuje, rośnie, budowa jej zbliża się ku końcowi. Elektrociepłownia pięknie. Właśnie na tere-

go, ZPW im. Świerczewskiego, ZWAT, ZPB im. Dubcis, ZPW im. Waryńskiego, Zakład im. Kunickiego (A i B) otrzymują prąd i parę technologiczną z EC II. W tej chwili 100 ton pary na godzinę. Po ukończeniu budowy EC II da miasto 350 ton pary na godzinę i dodatkowo gorącą wodę dla osiedli mieszkaniowych: Zu-

przestają

prototyp kotła rodzi się w czasie zaplanowanym dla niego...

WODA, WODA...

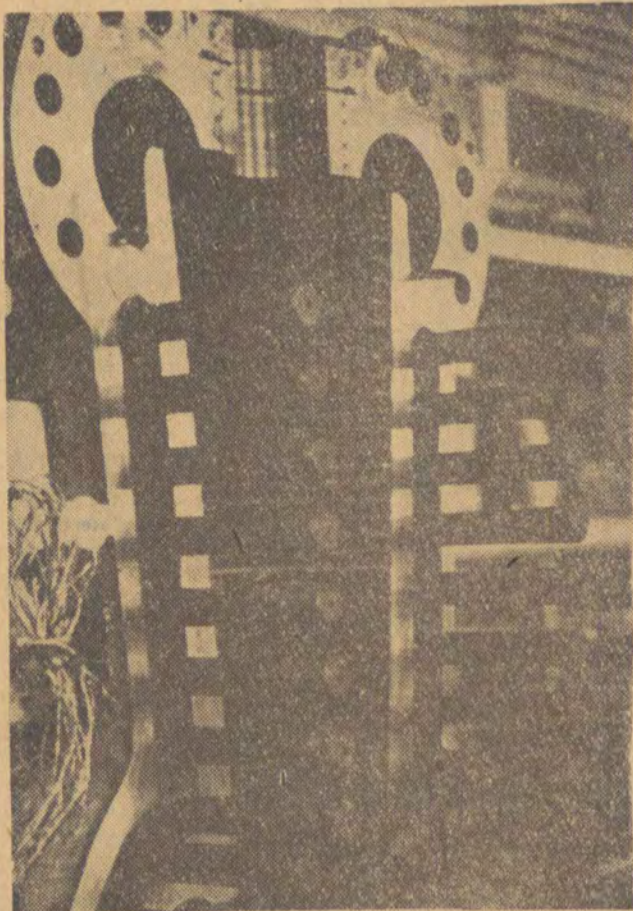
Woda stanowiła i wciąż stanowi olbrzymi problem dla całego miasta. EC II nie cieszy się w tym względzie jakimś ulgami. W kwietniu br. nastąpiła pewna poprawa na lepsze. Niewątpliwie

nie zakładu pracują spychacze i koparki, znikają góry gliny, zielenią się już trawniki, a ludzie chodzą po chodnikach, w... normalnych półbutach. Gumowe buty do kolan powoli wychodzą z mody. Fakt pozostaje faktem: W tej chwili już 6 zakładów produkcyjnych, a więc ZPB im. Dzierżyńskie-

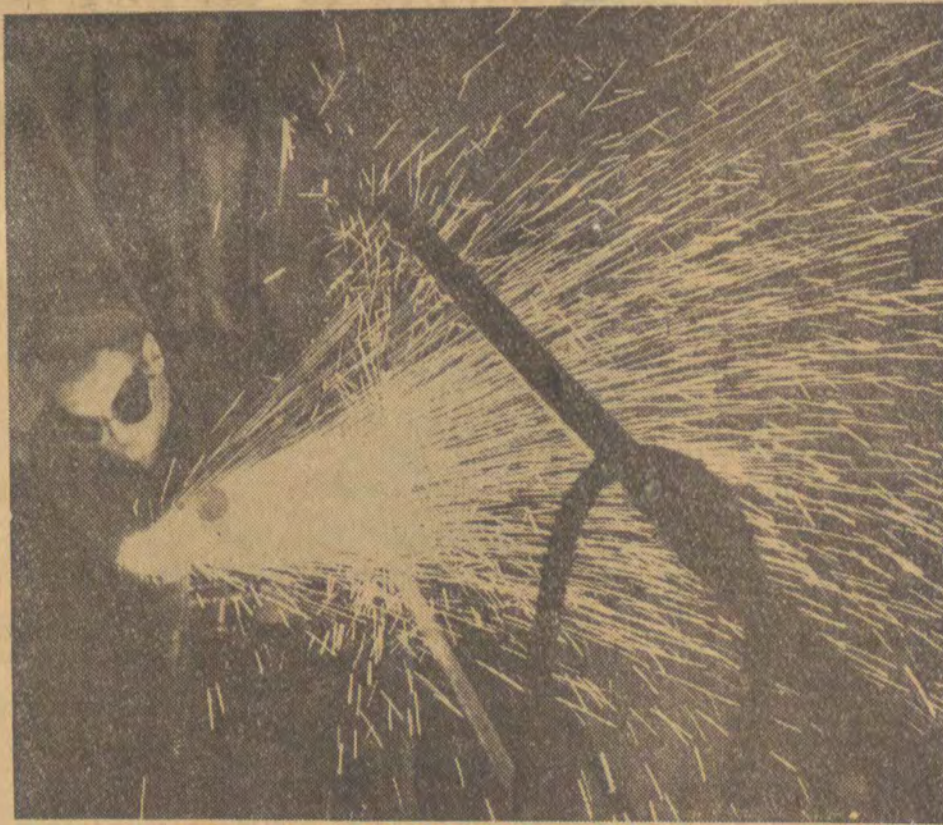
dymić

przyczynił się do tego fakt uruchomienia dodatkowego rurociągu łączącego elektrownię łódzką z elektrociepłownią. Poza tym już w tej chwili funkcjonują dwie studnie głębinowe na terenie zakładu. Dwie czynne nad Nerem nie mają jeszcze, niestety, połączenia z EC II. Buduje się rurociąg, który zgodnie z planem powinien być uruchomiony do końca tego roku. Na terenie elektrociepłowni brygady nafiarczy wiercą teraz trzecią studnię głębinową. Rzecz ciekawa, budowa tej studni prowadzona przy pomocy nowoczesnych urządzeń a więc bardzo kosztowna, ale i gwarantująca szybkie tempo pracy, jest w efekcie tańsza niż metoda tradycyjna zastosowana nad Nerem. Ale to już złomy na karb naszych „cudów” cennikowych. Powiedzmy też, że ostatecznie trudności wodne zostały przezwyciężone przy najmniej do czasu, kiedy trzeba będzie zaopatrzyć następne turbosopły.

Są za to znaczne kłopoty z polskimi urządzeniami prototypowymi do demineralizacji wody. To następny problem tego „trudnego roku”. Urządzenie to pracuje, ale



Pokrywka... turbiny



Przy montażu kotła

bardzia i Rokicia. W przyszłości, gdy ruszy elektrociepłownia w Turowie, nasz łódzki obiekt będzie wytwarzał energię elektryczną jako produkt uboczny. Celem głównym stanie się para technologiczna i gorąca woda.

Wczesna wiśnią przyszłego roku znikną baraki oddzielające ul. Zeromskiego od zabudowań elektrociepłowni. Przebiegnie tamtędy dwustronna asfaltowa arteria komunikacyjna, a oczom ludzi odsłoni się uporządkowany plac, otynkowane budynki, pomalowane na biało wieże chłodnicze. Piękna, nowoczesna fabryka, prądu, pary i ciepłej wody dla łódzkiego przemysłu i osiedli mieszkaniowych.



Informacje Wiadomości Nowinki Ciekawostki

i plotki MOTORYZACYJNE

Otwieramy nową, stałą rubrykę w przekonaniu, że istnieją w naszym mieście ładne rzesze miłośników motoryzacji. Wierzymy, że nasz „Kacik czterech kółek” będą czytali i zasilali ci, którzy już się „zmotoryzowali”, ci, którzy „zmotoryzują” się w najbliższej przyszłości, no i oczywiście ci, którzy problem „zmotoryzowania” się umieszcili w swoim planie perspektywicznym...

Szukajcie PIENIAZKI!!!

Pierwsze partie nowych samochodów „Moskwicz 407” mają nadejść do Łodzi jeszcze w lipcu. Samochód ten, wyposażony w 45 konny, górnozaworowy silnik, przystosowany jest specjalnie do naszych najbardziej wymagających warunków drogowych. Cena tych wozów wraz z radiobliornikiem 115 tys. zł. Część wozów ma mieć dwukolorowe nadwozia. Łódzki „Motozbyt” przyjmuje jeszcze przedpłaty na ten samochód.

Mają nadejść do kraju czeskie kabriolety „Skoda Felicia”. Nie wiadomo jeszcze, ile dotanie Łódź i jaka będzie ich cena. Mówi się o 130 tys. zł.



...że po mieście krążą uporczywe pogłoski o mających nadejść do kraju nowych samochodach „Fiat 600”, przyczym miałyby być one sprzedawane po jakichś rewelacyjnie niskich cenach, na jakichś specjalnych rozdzielniach. Mówi się, że ma to jakąś związek z ekspozycją „Fiata” na Międzynarodowych Targach w Poznaniu. Jak do tej pory, ani tzw. „czynnik oficjalny” ani też „Motozbyt” nie zdementowały tych pogłosk...

Dlaczego?

...kładąc trwałą nawierzchnię na ul. Złotowskiej nie pomyślano o poszerzeniu jej w niektórych miejscach; tak samo nie poszerzono narożnika ulicy Wólczańskiej przy Andrzejka, choć trawnik w tym miejscu na to pozwala!...

...klientów pytających o części zamienne do motocykla M-72 (popularna u nas „Emka”) w sklepie „Motozbyt” przy ul. Piotrkowskiej 125 odyla się do sklepu tegoż „Motozbyt” przy ul. Północnej 11, choć tam części tych nie ma na lekarstwo!...
...od szeregu tygodni w „Motozbycie” brak ogumienia wymiaru 6.00-107!...

mico STATYSTYKI

Hości pojazdów mechanicznych sprzedane mieszkańcom naszego miasta w roku bieżącym nie są wprawdzie zawrotnym, w porównaniu jednak z rokiem ubiegłym wykazują znaczny postęp. I tak w ciągu pierwszych pięciu miesięcy 1959 r. mieszkańcy Łodzi kupili następujące ilości samochodów: M-20 Warszawa — 112 szt., Mikrus — 17 szt., Syrena — 72 szt., P-70 — 10 szt., Skoda 440-Spartak — 38 szt., Skoda 440-Octavia — 28 szt.

odgłosy str. 3

Polska motoryzacja stała się ostatnio tematem modnym. Cieszy mnie to niezmiernie, gdyż zagadnienie to do niedawna było wstydliwie przemilczane, a na ludzi pracujących w tej branży patrzono jak na... służbę wielmożów („lokajów burżuazji”) — jak się wyraził jeden z moich znajomych. Dziś najbardziej ekscentrycznym amerykański „krajownik szos” coraz rzadziej przytłacza tłum gapiów. Samochód spowszedniał. I choć marzenie o jego posiadaniu będzie jeszcze przez długie lata dla wielu tylko marzeniem, zainteresowanie problemami motoryzacji nie osłabnie.

Leon Jankowski poruszył znów w swym artykule kapi-

talny problem krajowej motoryzacji*): czy Polskę mamy motoryzować w najbliższych latach na dwóch czy na czterech kółkach. Wszystko wskazuje na to, że polityka władz idzie w kierunku zmotoryzowania kraju poprzez nasyconie rynku motocyklami (problem samochodów odkładając na razie na dalsze lata). Jak będzie w rzeczywistości, trudno przewidzieć; stykając się jednak codziennie z ludźmi posiadającymi pojazdy mechaniczne, bądź marzącymi o samochodzie czy motocyklu, mogę stwierdzić, iż motocykl traktowany jest przez większość jako „okres przejściowy” do samochodu. To nie jest cel naszych marzeń, to jest „pierwszy etap motoryza-

DWA czy CZTERY KÓŁKA

cji”. Wszyscy, oprócz garstki entuzjastów sportu motorowego, marzą, głośno lub skrycie, o samochodzie.

Nie mają racji ci, którzy twierdzą, że szczyt marzeń łódzkiego robotnika, to motocykl. Wśród naszych nabywców samochodów mamy również przedstawicieli łódzkiej klasy robotniczej; niektórzy otrzymali spłatę ze wsi, inni wygrali w grach liczbowych, a jeszcze inni, dobrze zarabiający fachowcy, kupili samochód na raty, często pozbywając się właśnie motocykla. Czy dobrze zrobili, trudno osądzić, choroba motoryzacyjna jest dziś jednak już tak powszechna, że trudno się dziwić, iż ogarnęła najszersze warstwy społeczeństwa.

Nieważne jest w chwili obecnej, czy polskim samochodem popularnym ma być „Syrena” czy „Mikrus”. Ważne jest, aby samochód taki był dostępny w najbliższych latach. Aby jego cena, warunki nabycia i koszty eksploatacji były odpowiednio dopasowane do kieszeni lepiej zarabiających, zwykłych śmiertelników. Amatorów będzie dosyć i na „Syrenie” i na mikrosamochodzie „Mikrus” i na „Mikrusa” w nowej wersji na wzór „Fiata” 600. Za to ręczę.

ZBIGNIEW PIEKUT

* „Kółka a sprawa polska”, „Odgłosy” nr 27.

WERNHER
von BRAUN,

twórca niemieckiego pocisku raketowego V₂ oraz amerykańskiego satelity Słońca, opisuje dzieje pierwszej podróży na Księżyc. To nie jest fikcja naukowa. O ile pozwala na to dzisiejszy stan wiedzy, można stwierdzić, że jest to prawdopodobnie. Tak będzie jutro.

Autor przewiduje, że w latach 1961—1963 zdolnie kierowana rakietą ze zwierzętami obiegnie orbitę Księżyc, że w 1963 roku odbędzie tam samą podróż rakietą z ludźmi, a w 1966 nastąpi pierwsze lądowanie na Księżycu.

Opowiadanie o najbardziej niezwykle przygodzie człowieka — pierwszych krokach poza terenem Ziemi — ilustrował według wskazówek von Brauna, Fred Freeman.

Von Braun o locie na KSIĘZYC

(Opisowane na podstawie artykułu von Brauna z Paris Match)

Dwaj astronauta — John Mason i Larry Carter — po odpowiednim przeszkoleniu startują do lotu w pięciostopniowej rakiecie międzyplanetarnej. Po 60 godzinach podróży — w czasie której najciekawszą przygodą jest całkowita utrata siły ciężkości — lądują wewnątrz jednego z księżycowych kraterów.

Dalszy ciąg z poprzedniego numeru

Założywszy ciśnieniowe skafandry kosmiczne lotnicy przeszli przez hermetyczną komorę ochronną i po drabince spuścili się na powierzchnię Księżyc. Grunt, na którym staliśmy, przypominał porożnię, kruchą skorupę, wydało im się, że stąpają po ubitym śniegu. Nie dostrzegli natomiast ani śladu kurzu. Pod ciężarem ich okutych butów skorupa zalamywała się, pod spodem wyczuli twarde podłoże.

Myśleli zrazu, że owa struktura terenu jest po prostu zgorzela wypalona przez płomień rakiety, kiedy jednak opuścili niewielkie zagłębienie powstałe przy lądowaniu, okazało się, że grunt jest wszędzie taki sam. Zgodnie z założeniem, jako pierwszy przeprowadzili pomiar radioaktywności gleby. Zapuscili sondę detekcyjną licznika Geigera przekonali się, że nie ma niebezpieczeństwa dla zdrowia.

Rozmawiać ze sobą nie mogli, nie mieli zresztą potrzeby, każdy jednak nieustannie mówił; opowiadał półgłosem swoje wrażenia. Umieszczony w hełmie skafandra małe rejestrator, notował na taśmie owe przemówienia. Po wywołaniu już w domu dadzą one uczonym materiał do rozszyfrowania.

John schylił się i podniósł kamień wielkości sporej dyni. Zdziwił się: jak mało to waży. Dopiero teraz doszło do jego świadomości, że siła przyciągania jest tutaj sześciokrotnie mniejsza, niż na Ziemi. Dągå tego nie odczuwał, specjalnie skonstruowany skafander narzucał wrażenie normalnego ziemskiego ciężaru.

Kamień okazał się krzemieniem, był jednak niezwykle porowaty i kruchy i to nie tylko na powierzchni. Miliardy dni i nocy, gwałtowne zmiany temperatury, niesamowite spiekoty i mrozy skręszły zwały konsystencje. John odrzucił gruc i znowu się zdmwił — upadła niezwykle daleko.

Na odległość rzutu kamieniem, oczywiście księżycowym, zobaczyli niewielki pagórek. Wzleździ na wierzchołek mogli lepiej obejrzeć krater, wewnątrz którego się znaleźli. Wbrew fotografiom teleskopowym dno nie było wcale jednorodnym, usiane było odłamkami skał i głazów narzutowych. Natomiast obrzeżający łańcuch gór, które wyglądały na zdjęciach na bardzo wysokie, urwiste i poszarpane, z bliska okazał się zupełnie nie-

groźny. Jedyne ostre kontrasty światła i cieni przesadnie potęgowały wrażenie.

Widok był jednak przygnębiający. Smutną pustką pejzażu podkreślał jeszcze brak jakiegokolwiek żywych kolorów. Przez lekką zabarwienie szybki widziara trudno było nawet określić właściwe barwy gruntu: owe różne odcienie szarości przerwane miejscami bursztynową lub brunatną plamą. Postrzępiona linia gór odcinała się od aksamitnego nieba upstrzonego punkcikami gwiazd. Słabe ich światło nie gasło mimo oslepiającego blasku Słońca unoszącego się nisko nad horyzontem. Równie nisko, dokładnie po przeciwnej stronie wisiał przedmiot naprawdę kolorowy — tony różowe, zielonkawe i niebieskawe odbijały od jaskrawej bieli. Była to Ziemia.

Jednakże na kontemplację pejzażu szkoda było czasu. Na astronautów nałożono niemało obowiązków. Astrofizycy i geolodzy domagali się wielu i różnych kawałków gruntu, by zbadać budowę i pochodzenie Księżyc. Radiolodzy pragnęli przestudiować wyniki milionów lat promieniowania słonecznego i kosmicznego. Inżynierowie zgłaszali zainteresowania praktyczne — mając zamiar budować na Księżycu domy i drogi żądali próbek skał i „ziemi”, by przekonać się, co się z tego da zrobić i jakie sprwadzić ze sobą najekonomiczniejsze spożywa. Agrobiolodzy chcieli otrzymać próbki gruntu.

John i Larry przez całą równowartość ziemskiego dnia zbierali różne okruchy, owijali je starannie w bawełnę i pakowali do plastikowych pudełek. Zawozili to wszystko na taczce, a na grząskim gruncie zadanie wcale nie było łatwe. Następnie przy pomocy ręcznego dźwigu wlecieli lupy do kabiny. Dopiero „wieczorem” zasiadłszy do odpoczynku nawiązali kontakt z Ziemią.

Gdy minęła symboliczna ośmiogodzinna noc, przystąpili — wbrew własnemu przekonaniu — do poszukiwania gazów, jakie miały się znajdować w szczelinach satelity. Gazy te powinny — zdaniem uczonych — wydobywać się na powierzchnię w ciągu upałów dziennych i jako bardzo ciężkie opadać na dno szczelin w czasie nocnych oziębień. Lotnicy zapuścili więc do pobliskich szczelin prawie dwa metry długie, kiszkowate worki z nylonu, zakończone nastawionymi tulejkami... i czekali.

Istotnie, kiedy następnego dnia przepompowali pod ciśnieniem zawartość worków do dzwona próżniowego, manometr wykazał niewielką ilość gazów. Tak więc i to zadanie zostało wykonane.

Z kolei trzeba było zbadać strefy promieniowania ewen-

tualnie występujące w pobliżu Księżyc. Jak wiadomo, już po wypuszczeniu pierwszych sztucznych satelitów przekonano się, że Ziemia okalała w pewnej odległości dwa pierścienie intensywnego promieniowania, tak zwane pasy van Allena — od nazwiska odkrywcy. Są to pierścienie naładowanych elektrycznie cząstek schwytych z promieniowania kosmicznego przez pole magnetyczne Ziemi. Gdyby okazało się, że Księżyc również posiada pole magnetyczne, należałoby mniemać, że i tam występuje radiaacja niebezpieczna dla statków międzyplanetarnych.

Na ostatni dzień pobytu na Księżycu — kiedy odróżni już zaaklimatyzują się jako tako — wyznaczone było zadanie naj-

bardziej sensacyjne: spowodowanie małego „trzęsienia księżyc”. Chodziło o zbadanie jądra satelity — czy przedstawia podobną mieszaną materię jak ziemskie, czy może jest luźnym skupiskiem skał z obszernymi przestrzeniami próżni, czy też stanowi całkowicie twardą masę?

Ranek tego dnia lotnicy wystrzelili z środka krateru dwanaście rakiet długich na 1 m 80 cm, wyposażonych w sejsmografy, nadajniki radiowe — i materiał wybuchowy. Aparaty nastawione były na różną częstotliwość fal, tak że każdy łatwo było odróżnić. Wystrzelono je w różnych kierunkach na odległość od 30 do 130 kilometrów. Podczas gdy John wysłał rakiety, Larry ułożył się z radiodiodami na krawędzi krateru, by notować wyniki. Po półgodzinnych poszukiwaniach okazało się, że sygnały nadało tylko siedem aparatów, widocznie pozostałe albo roztrzaskały się o zbyt twarde skały, bądź wpadły do zbyt głębokich szczelin. Ale dane, które otrzymali, zupełnie wystarczały. Każdy wybuch wywołał na rozległej przestrzeni fale wstrząsów, które dotarły do sejsmografów za pośrednictwem wnętrza Księżyc. Zarejestrowane na taśmie przez odbiornik Larry'ego, przekazane będą geologom na Ziemi i pozwolą im na wyciągnięcie odpowiednich wniosków.

John zaszykalizował powrót. Larry zebrał aparaty i ruszył ku rakiecie. Nagle stanął jak wryty. Zobaczył na „ziemi” małe metalowe naczynko podobne do puszek od konserw. Był to nadajnik. Wewnątrz znajdowała się plakietka z nazwą elektrotechnicznej firmy nowojorskiej i datą: 1959.

Podekscytowany znalezionym skarbem pobiegł, żeby zawiadomić kolegę, który przebywał już we wnętrzu kabiny.

Wchodząc po drabince i



Start do lotu powrotnego

próbując otworzyć drzwi zewnętrznej kamery ochronnej Larry poślizgnął się. Kurczowo chwycił się za drzwi, ale palce obsunęły się i runął z trzydziestometrowej wysokości. Skafander złagodził szok spowodowany upadkiem, ale Larry zemdliał.

Gdy się ocknął spostrzegł, że leży na swoim fotelu, bez hełmu, z silnym bólem głowy i rozbitym nosem. Przez okienko zobaczył, że John daremnie mociuje się z drzwiami kamery ochronnej. Widocznie w czasie wypadku coś w nich Larry uszkodził.

Minęły dwie, trzy, cztery godziny a John nie umiał sobie poradzić. Niestety Larry, choć już się dobrze czuł, nie mógł mu przyjść z pomocą. Otwieranie drzwi wewnętrznych międzyabiną a kamerą ochronną było niebezpiecznym ryzykiem. Już w czasie przenoszenia zemdlonego Larry'ego utracili zbyt wiele czasu. A tymczasem zbliżała się chwila startu powrotnego.

najdalej za trzy godziny powinni byli wyruszyć.

Sprawa przedstawiała się groźnie. Tylko dwa razy w miesiącu istnieje dogodny moment na start do lotu z Księżyc na Ziemię — wówczas gdy tor lotu wypadła na linii ziemskiego równika. W innych sytuacjach ich zapasy paliwa nie wystarczyłyby na bezpieczne lądowanie.

Udało się wreszcie. Niezależnie drzwi zostały zatrzasknięte, a ponieważ Larry poczynił już wewnątrz odpowiednie przygotowania, mogli startować bez zwłoki.

Rozruch trwał dwie minuty. Okrążyli raz Księżyc i z szybkością około 9500 km na godzinę, całkowicie wystarczającą by przezwyciężyć siłę przyciągania satelity, ruszyli w drogę powrotną. Po dziesięciu godzinach ponownie przekroczyli linię demarkacyjną. Porwani siłą przyciągania Ziemi lecieli teraz z wylądowanymi motorami z szybkością wzrastającą od 1600 do straszliwych 4000 kilometrów na godzinę. Ale, zanim wejda w atmosferę ziemską, mieli jeszcze przed sobą czterdzieści godzin spokoju.

Nie, nie mieli, ale to był zwyczajny pech. Nagle rozległ się złowrogi trzask. Buchnął płomień, ciśnienie wewnętrzne raptownie spadło do zera i kabine wypełniła mgła. Znali to zjawisko, takie efekty daje wilgotność powietrza po spadku ciśnienia. Zorientowali się szybko. Małe komety zderzyły się z rakietą i jak kula przebił kabine na wylot. Oczywiście byli na taką, dość zresztą niezwykłą, ewentualność przygotowani, ale załatanie dziur zajęło im sporo czasu.

Przez resztę drogi drzemali na zmianę.

Wreszcie nadszedł moment krytyczny wejścia w atmosferę. Aparaty odrzucone czwartego członu rakiety, który ciągnął do tej chwili ze sobą, przydały się dla hamowania szybkości. Leceli teraz głową na dół, ale ponieważ stan nieważkości trwał, nie sprawiło im to najmniejszej różnicy.

Dziób i skrzydła samolotu, bo piąty człon rakiety był specjalnie skonstruowanym samolotem odrzutowym, rozpadły się do białości, ale wewnątrz kabiny panowała normalna, pokojowa temperatura.

Przy niskim pułapie chmur i wyjątkowo złej widoczności przelecieli nad Afryką, Oceanem Indyjskim, Indonezją. Podchodzili do lądowania.

Lądować na przyrządy samolotem o szybkości ponaddziesięciu kilometrów na godzinę było bardzo niebezpieczne. Ale nie na darmo byli najlepszymi pilotami świata.

Usiedli lekko. I nagle zobaczyli pędzący ku nim tłum ludzi wiwatujących, wymachujących rękami.

— Mieszkańcy tej planety poszaleli, wracający na Księżyc powiedział Larry.



Zbieranie okruchów gruntu



Badanie istnienia gazów na Księżycu

Podłowickie ELDORADO

Reportaż prawie detektywistyczny



Feliga obiecuje, że każdego, kto przyjdzie doń szukać złota, zwiążę łańcuchem i wrzucię do tej oto studni.



W takim oto gronie można sobie posłuchać baśni o ukrytych sztabach złota. Gorzej gdy czerpią z nich natchnienie niektórzy „militanci”.

Obracam jeszcze raz w ręku małe karteluszki. Moi informatorzy obiektywnie stwierdzali: — W Zabostowie Dużym, obok Lowicza, ludzie utrzymują, że obywatel Jan Szczepanik, Stanisław Feliga i Sobieszek posiadają ukryte sztaby złota. Co pewien czas sprzedają po kawałku cenny kruszec, budują sobie domy, stodoły, obory i kupują ziemię.

Zabostowiaczy dodają jeszcze, że to złoto dostało się ich krewniakom w wyniku wyprawy na tabory cofających się wojsk polskich w 1939 r.

Cała historia byłaby jeszcze bardziej fascynująca, gdyby wierzyli w jej autentyczność wszyscy chłopcy z okolicy. Niestety, już w pobliskiej Kominie na wiadomość, że jedziemy do Zabostowa „szukać złota” jakiś stary dziadzia rzekł:

— Na początku podejrzewali tylko Szczepanika, teraz już mówią, że trzech ma złoto, za rok, da Bóg, będzie miało pięć. Diabli wiedzą, skąd oni je biorą — kopia chyba w ziemi — albo wyrabiają w kuźni?

Takim to sposobem doszliśmy do drugiej wersji o pochodzeniu zabostowskiego złota. Szanując naukę historii i chemii nie zamierzam sprawdzać autentyczności żadnej z nich. Kim jednak są ci, których pomawia się o posiadanie sztab złota to rzeczywiście ciekawe.

Ganek domostwa ob. Jana Szczepanika skrzypli niby zardzewiałe zawiasy. Dom jak ułal pasuje do standardu życia przeciętnego polskiego chłopca. Chwilę bliżej po opustoszałych izbach. Ani śladu wypchanej sowy, „czarnoksiężskiej kuli”, a tym bardziej tajemniczych retort, co świadczyłoby, że gospodarz para się alchemią.

Nie ma nawet czarnego kota,

które w bajkach lubią strzec domostw czarnoksiężników — dom jest pusty, nie zamknięty na klucz. Tak to Szczepanikowie strzegą swoich „skarbów”.

— Gospodyni pierze na podwórzu — informuje przechodząc drogą kobieta; chylikiem zdążyła za mną, rada by szybciej uszczknąć z rozmowy. Gospodyni obdarza ją pełnym złości spojrzeniem a dla mnie chwilowo rezerwuje oblicze pełne niezadowolenia chłodu. Tak mija 5 minut. Szczepanik wciąż nie nadchodzi, ciekawość gospodyni wrze, bulgoce, podnieca sylwetki gromadzących się pod domem sąsiadów, wreszcie z jej ust wychodzi pytanie:

— A może i pan w sprawie tego złota?

Przytakuję niezdecydowanie, ale babcia, pomagająca przy balii raptem wyciera dłoń o fartuch i żegna się ukradkiem marmrocąc:

— Jeśli „za złotem” to nie dobrego, była już raz milicja... Czego ludzie od nas chcą?

— „Tajny”? — Czuję na sobie badawcze spojrzenie „Jagienki”. Nawet moja dziennikarska legitymacja nie jest w stanie uspokoić wzburzonych kobiet.

Na szczęście nadchodzi Szczepanik. Początkowo nie szczeni mi podejrzliwych spojrzeń, ale trwa to tylko chwilę — gospodarz lepiej zna się widocznie na ludziach — nabiera zaufania. Jesz-

cze parę słów, spojrzenie na legitymację i już spokojnie rozmawiamy sobie w chłodku za stodołą o Szczepanikowych sprawach. Ma 10 morgów ziemi, w ub. roku powiodło się w gospodarowaniu, obrodził sad, udaly się świnię, dokupił 2 i pół morgi ziemi, wcześniej jeszcze wybudował stodołę. Sytuacja gospodarstwa byłaby bardzo dobra gdyby nie splata rodzinna. Zamierza oddać bratu owe zakupione 2 i pół morgi oraz trochę jeszcze ziemi dokupić za pieniądze uzyskane ze sprzedaży 3 mórg żony w Plaskocinie. Jeśli się transakcja udała wkrótce stanąłby „na nogi”.

Najwykleszy gospodarski rachunek. Trudno doprawdy doszukać się tu jakichś nieczystych szachrajstw czy wpływu dodatkowych środków pieniężnych, pochodzących ze sprzedaży kosztowności.

Skąd wzięły się więc bajki o złocie i Szczepanikowym bogactwie? Aby to zrozumieć trzeba cofnąć się pamięcią wstecz do czasów starych jak żołnierskie mogiły bohaterów znad Bzury równiutko uszeregowanych na kompińskim cmentarzu.

Ciemnota i... złote puszki od konserw(!)

Zabostowska, wiejska droga biegnie równoległe do warszawskiej autostrady, odsakując od niej może 400 metrów. Ale grunty chłopów ciągną się po obu jej stronach. Gdy jesienią 1939 roku hitlerowskie „Messerschmidty” zniżyły lot nad autostradą, uniemożliwiając jakkolwiek przemarsz, równoległe biegnącą wiejską drogą, pod osłoną nocy i zieleni przesuwały się polskie wojska i wlokły tabory. Raz wszystko to przewlekło się w kierunku Bzury, kiedy indziej w odwrotną stronę. Nawet najstarsi ludzie nie pamiętają, ile razy przesuwały się tabory tam i z powrotem. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami. Pół wsi sponęło od niecelnie rzuconych bomb na autostradę i wybuchu artyleryjskich pocisków. Nikt jednak nie zapomniał ostatniego odwrotu, pęczniących trupów końskich, ludzkich z cuchnącymi ranami, zatykanymi w pośpiechu słomą i siano. Atakowane przez lotnictwo tabory wojskowe tu i ówdzie zostawiały u-

szkodzone wozy, wyrzucały zbędny ładunek.

We wsi Zabostów, jak wszędzie po drodze, chowano broń, plądrowano porzucone przez wojsko wozy. Te ostatnie zawierały najczęściej razowicę, kocz, owies, siano i konserwy. Owe tajemnicze dla starszych kobiet puszki były przez długi czas przedmiotem wielu podejrzeń. Jedne twierdziły, że w pudełkach było złoto, inne że dynamit. Gdy wraz z wojskami zalały łowickie wioski i miasteczka, przewalił się huragan wojny, nikt niczego nikomu nie wypominał. Po wojnie poumieraly najstarsze babki, w opowiadaniach ludzkich złote pudełka od konserw „zamieniły” się powoli w brylki a potem sztabki złota i tak już zostało. Nikt tylko po tej zawierusze nie wiedział, kto sztabki posiada i gdzie je przechowuje.

Aż tu nagle w Zabostowie gruchnęła wieść, że Szczepanik kupił 2 i pół morgi ziemi, dopytywał się o cenę gospodarstwa Siewiery. Ludzie zaczęli się zastanawiać skąd bierze on pieniądze L... wtedy przypominały się baśnie o złocie.

Gdy Stanisław Feliga postawił nowy dom, również posądzono go o posiadanie złota. Poprawiły się warunki Sopieszków — też zaczęto dogadywać im o zrabowanym złocie.

— Kto będzie następny? Pytał z niepokojem Jan Szczepanik.

Cóż, chyba wszystkim trzeba życzyć, by rozwijali swoje gospodarstwa, szczególnie biedniejszym rolnikom, jak ci trzej. A jeśli ludzie chcą opowiadać sobie bajeczki — niech opowiadają...

— Bajeczki? — Wtrąca Szczepanik. — W tym musi coś być. U mnie w sprawie tego złota był wiosną tego roku milicjant...

A więc jednak babcia mówiła prawdę. O jakież więc złoto chodzi?

Na własną rękę i kiepski rozum...

W Łowickiej Komendzie MO nikt nie słyszał o szczepanikowym złocie. Tow. Zajac — odpowiedzialny za ten teren autorytatywnie oświadczył:

— W Zabostowie wiosną br. przeprowadziliśmy 2 dochodzenia i dokonaliśmy dwóch rewizji — u sklepowej, która miała manco i u pewnego gospodarza podejrzanego o kradzież motocykla.

— Nie prowadziliśmy żadnych poszukiwań złota na naszym terenie — wyjaśnia powiatowy prokurator tow. Miler.

W Łowickim Archiwum nie ma żadnych śladów, z których można by przypuszczać, że w roku 1939 wędrowała drogami powiatu choćby jakaś część sztab polskiego złota.

A więc kto śmiał niepokoić wieś i kompromitować milicję bezsensownymi dochodzeniami?

Aby tę sprawę wyjaśnić muszę z powrotem wrócić do Zabostowa. Na szczęście sprawa jest o wiele bardziej prosta niż się wydawała. Pogwarki na temat złota rozgorzały na nowo. Kolektywnie ustalono, że niepokoił Szczepaników na ten temat miejscowy milicjant ob. Panak. Kim był towarzysząc mu cywil — niestety, tego w Zabostowie nikt nie wie — na pewno nie z N.B.P.

Czy mieli prawo na własną rękę prowadzić czynności w sprawie „sztab złota” i nadawać bajkom ciemnych dawno zmarłych staruszek jakikolwiek sens?

Ustalenie tych spraw należy do Komendy Powiatowej MO w Łowiczu. Ja w każdym razie zbyt cenę naszych milicjantów, by namawiać ich do szukania w Zabostowie sztab złota. Każde dziecko w szkole podstawowej wie, że polskie złoto zostało wywiezione z kraju przed zakończeniem operacji „Bzura”.

Słowem: niektórym milicjantom przydałby się kurs historii Polski, a przynajmniej parę wykładów. Sądźmy, że łowicka Komenda Powiatowa MO wyjaśni zabostowskiemu rolnikom stanowisko w sprawie niefortunnych kroków ob. Panaka. My zaś też przeniesmy się już do Zabostowa, by przyjrzeć się tym, którzy rozsiewają bajki o złocie i zrozumieć na co im są one potrzebne.

W obronie słodkiego próżnowania

Kto w Zabostowie rozpowiada bajdy o złocie, by dokuczyć trzem rolnikom, którzy wespół z całym rodzinami (o tym wieś bardzo dobrze wie!) ciężko harują nad rozwojem swoich gospodarstw?

Aby to zrozumieć nie wystarczy wymienić parę nazwisk. To jest problem szerszy. W Zabostowie po przemianach wyłonili się dwie grupy rolników.

Pierwsza to ci, do których należy Szczepanik, Feliga, Sobieszek i wielu innych. Nie mają oni dużych gospodarstw, ale ciągle w nie inwestują, oszczędzając na razie na zbytku a często nawet wygodnie. Oni są zawsze w porządku wobec państwa i zaczynają stawać na czele postępu rolniczego.

Druga grupa to ci, co starają się dokuczyć podobnym do Szczepaników. Miast inwestować w gospodarstwa kupują przede wszystkim motocykle, luksusowe meble, urządzają sute libacje.

Gdy do tych ostatnich przychodzi w końcu roku sekwestrator i robi zajęcia za nieopłacone podatki — lubi stawiać za wzór Feligów czy Szczepaników.

Na wszystkie argumenty odpowiadają oni: tamci mają złoto a pomocne są stare bajki wyssane z palca przez dawno zmarłe staruszki.

Jest jednak i w Zabostowie prawdziwe złoto. Są to złote gospodarskie ręce do pracy. W tych rękach nasza siedmiolatka może być bezpieczna.

Tekst i zdjęcia:
Jerzy Pilichowski

E F E M E R Y

Jeden przyszedł, wypowiedział jej kazał napisać i pod własnym nazwiskiem wydrukował. Ale nam dużo mówiła, choć nauczka miała. A my zaraz „Trybuna” jej cytujemy:

„Nie wiem, jak jest w innych miastach z oświatą dla dorosłych. Wiem natomiast, że w Łodzi nikt nie potrafi powiedzieć, ilu robotników nie posiada podstawowego wykształcenia”.

A pani Masłowska nauczycielka jest, Szkołę w „Marchlewskim” prowadzi. Więc ona wie. Połowa robotników wykształcenia podstawowego nie ma. To i Adamowski pisał, że we włókiennictwie do pracy, „na słowo honoru” się przyjmuje. Powie kto, że matura ma, w papierkach matura zapiszą. Siedem klas powie, siedem zapiszą. W „Marchlewskim” 4120 robotników do szkoły powinno chodzić. A chodzi tylko 51. Z początku to przyszło 9 osób. Szkoła trzy razy powstawała, więc nikt nie wierzył. A i ci dla świętego spokoju się zadeklarowali. Ale nauczycielka kobieta uparta. Nowoprzyjętych do siebie brała. Albo do szkoły, albo pracować nie będziesz. Więc przyszło siedemnastu „ochotników z ostatniej oławy”. Inni też przyszli. Potem było zakończenie roku, z pompą. Z Radziem. Prasa nie przyszła. Robotnicy książki dostali. Herbatka była. Dla tych co do szkoły chodzili, i do Warszawy wszyscy na wycieczkę pojechali. Rada Robotnicza i Partia pieniądze dali. Ale dlaczego ich tak mało do szkoły chodziło?

Poszliśmy na pole Bałutkie. Zdzisieć z nami poszedł i Włodek z Limanowskiego. Wzięliśmy kwaterekę. Rozpiło się tam. Sześciu wkoło siedzieli, patrzyli. Włodek mały brat patrzył, czy „władzy” nie ma. A potem przyszedł Mietek. Powiedział, że Jadzka u niego jest w komórce. Chwalił się, że ją tam... I tak dalej. Ona do niego przyszła. Znała go dawniej. Macocha ją posiniła sznurem od żelazka. Ojca zabrakło, bo stary za wódką tylko lata. Macocha o kradzież dziewczynę posadziła. Dwa pierścienki. Stary pewnie gdzieś przepił. Wysłał Mietka do kiosku. Po wino. No i wtedy Włodek nam powiedział, że Mietek w kominiarza robi. Po dachach chodził. 1500 na miesiąc ma. Czwartej klasy nie skończył. Włodekowi wierzymy. Do dziewiątej klasy z nami chodził. Potem szkołę rzucił. Na budowie zaczął pracować.

Włodek Jadżkę znał. Kiedyś z nią chodził. Dziewczyna miała ciotkę w Bednie. Włodek powiedział, że zawiezie tam Jadżkę. Pożyczył od Zdziszka 200 złotych. Jak przyszedł Mietek, to mu zagroził. Żeby Jadżkę zostawił w spokoju. Mietek się stawiał. Potem poszliśmy do komórki. Jadżka bruneką, piętnaście lat. Niczego sobie. Milicja już jej szukała, bo rodzina dała znać. Dziewczyna do macochy wracać nie chciała. Włodek dla zbudania Mietka kazał się jej w komórki wynosić. Miała w schronach poszukać noclegu. Ale naprawdę poszliśmy z nią do szopy Zdziszka. Trzeba było uważać, bo tam piekarnia jest czynna przez całą dobę. Rano Włodek pojechał z nią do rodziny. Wrócił sam wieczorem, poszliśmy na Bałuty. I on nam powiedział. Ma

się dzisiaj pieniądze, co się człowiek będzie o jutro martwił! Jak efemery. Okresowe rośliny. Dzisiaj są. Jutro już ich nie ma.

Więc dlaczego ich tak mało do szkoły chodzi? Nauczycielka nam długo u „Marchlewskiego” tłumaczyła. Zakłady nie realizują ustawy o wykształceniu. Jak się faceta bez szkoły z pracy wyrzuci, gdzie indziej ją dostanie. Więc co się o szkołę będzie martwił? Zieleni ludzi potrzebuje. W budownictwie ludzi potrzeba. Płacą też nie najgorzej. Tylko na Śląsku jest inaczej. Wyleją gościa w Bytomiu, to do Katowic za robotą będzie jeździł i nie dostanie. Na Śląsku mogą ustawy szanować. W Łodzi nie. Więc ludzie bez książek żyją, bez nauki się obywają. Interesu uczyć się nie ma. Dużo chłopaków po ulicach lata. Starzy ich nie przypilnują. Na Bałutkim Rynku często się schodzą. Tam się handluje, ale nie piszą. Kramarze kantują. Grzybki, kanarki, rybki, kupezenie młodością. Młodzi też handlować próbują. Trochę forsy podciąć. Potem piją i na dziewczyny wydają.

Włodek nam o Steńce i Hance opowiadał. Na chłopaków z forsy połowały. Do Zdziszka do domu chodzili. Na potanie i zabawę. Nikomu dotknąć się nie daly. Twardo byli. Mietek też to Zdziszkiowi mówił. Sikacza wziął, kumpla, no i je do domu zabrał. Wypili sobie, ale nie nic wyszło. Bo twarde były. Teraz jedna do narzeczonego pojechała do Sieradza. Druga jeszcze po Limanowskiego chodzi, frajera szuka. Pewno go znajdzie, bo się wiele na Bałutach zmieniło. Kiedyś Józek był. Z wzięcia wyszedł i zaraz rozrobił. Trzy miesiące pochodził sobie, aż do tybaja trafił. Teraz chłopaków nie ma. Wynoszą się z Bałut, do wojska dużo pozabierali. Dawniej się paczka chłopaków pod kinem zebrala. Były bandy pod „Świątem”, pod „Zachęta”. Teraz MO spokoju nie daje. „Suki” podjeżdżają, zabierają na komisariat.

Poszliśmy na Komisariat Łódź-Bałuty pogadać sobie o wszystkim. Jak to się na Bałutach zmieniło. Komendant kpt. Maciąg nas przyjął. Doświadczenie ma. I „władza” nam powiedział. — Dużo młodzieży poza szkołą jest. Z nią są kłopoty. A teraz milicja nowy sprzęt dostała. Całe Bałuty w noc nim zjeżdżą. Choć teraz ob-



KONRAD FREJDLIH,
MAREK REGEL
Zdjęcia: W. BILINSKI

jazdu nie bardzo potrzebne. Bo się tutaj wszystko uspokoiło. Nowe bloki przyszły, nowi ludzie, „paczki” są porożdzielane. Ciemne ulice znikają. Jak efemery. Robi się inne miasto. Lepsze.

Komórki personalne powinny już dziś przygotować ewidencje analfabetów i półanalfabetów zatrudnionych w fabryce, by ułatwić nauczycielom przeprowadzenie rekrutacji. „Bliższa analiza wskazuje, że w łódzkich fabrykach nadal

„Chodzi po ulicach wiele młodzieży, która nie pracuje i nie uczy się. Młodzież ta żyje dniem dzisiejszym... „Jakoś to będzie, a do nauki nie mam głowy“...

pozostaje większa część robotników bez podstawowego wykształcenia. Zwłaszcza ostro występuje to w przemyśle włókienniczym” — pisze „Trybuna Ludu”.

Przez kilka dni obserwowaliśmy życie Bałut. Przyznajemy — nie są to pełne obserwacje. Ale już w tej chwili możemy powiedzieć, że organ partyni nie przesadził. Zjawisko jest nawet szersze. Chodzi po ulicach wiele młodzieży, która nie pracuje i nie uczy się. Młodzież ta żyje dnem dzisiejszym. „Jakoś to będzie, a do nauki nie mam głowy”.

Problem jest skomplikowany i nie predko zostanie rozwiązany. Ale w tym efemerycznym stosunku wobec życia jest coś niepokojącego. I powiedzmy otwarcie: czy na tle ogólnych zmian w Łodzi (nowe bloki, nowe dzielnice robotnicze, polityka kulturalna władz) zjawisko to nie jest jakimś anachronizmem? Trudno sobie rzeczywiście wyobrazić nleuka przy nowoczesnej, skomplikowanej maszynie. Władze to dobrze rozumieją. Więc z jednej strony zakłada się specjalne szkoły, w których kształcą się ludzie w cieplarnianych warunkach. Nauka jednego ucznia w takiej szkole podstawowej kosztuje tyle, co kształcenie studenta. A przecież student korzysta ze skomplikowanych pomo-

cy naukowych, z pracowni itd. Z drugiej strony zakłady pracy lekceważą obowiązek kształcenia robotników z prostego wygodnictwa. A sprawie należy postawić jasno. W fabrykach nie powinna się znaleźć ani jedna osoba do 35 lat bez pełnego wykształcenia podstawowego. Z nieuctwem trzeba walczyć wszelkimi środkami: od akcji propagandowej do sankcji administracyjnej. Bo półśrodki, które stosuje się w przemyśle włókienniczym z góry zakładają kapitulację. Niemożność znalezienia pracy przez nleuków wpłynie na młodzież, która często wałesa się po ulicach, handluje na bazarach, edukuje się u oszustów. I powiedzmy dalej: wszelkie środki nie wystarczą, jeżeli z wykształceniem nie będzie się wiązał ekwiwalent pieniężny. Robotnik wykształcony musi zarabiać więcej od nleuka.

Polityka władz, dobra wola ludzi już dają o sobie znać. Robotnicy, którzy kształcą się w 5 przyzakładowych szkołach i na 85 kursach fabrycznych robią dobrą robotę. Trzeba zjawisko to upowszechnić. Tylko wtedy efemeryczny stosunek ludzi do problemów życia zniknie. I tylko wtedy zjawisko nleuczwa i wtórnego analfabetyzmu będzie można traktować jako efemery.

Było cicho. Za oknem dzwonił tramwaj zdążający do Tuszyńska. Woźny Jan K. przechadzał się po pokoju, wyglądając od czasu do czasu przez okno. Na drodze jeszcze jasno — ostatni dzień sierpnia. Dopiero ósma — pomyślał — przede mną cała noc. Podszedł do drzwi. W porządku. Wszystkie pozamykane, klucze w kieszeni. Jedynie od drzwi zapasowych, które zresztą nie były nigdy otwierane, nie miał klucza. Ale za to są one zakryte częściowo szafą. Usiadł przy jednym z biurk i zamyślił się.

Nagle usłyszał szelest. Szmer dobiegał jakby od strony szafy. Woźny K. podniósł się. W tym momencie ktoś energicznie pchnął drzwi i stary woźny zobaczył lufę pistoletu... — Ani słowa — wyszeptał nieznanemu przybysz — kładź się — wskazał głową kozetkę — na brzuchu. Jan K. podszedł powoli do kozetki i osunął się na nią ciężko. Do pokoju wszedł ktoś jeszcze. Porozumiewał się szeptem. Woźny K. leżał ze związanymi na plecach rękami. W ustach miał szmatę wepchniętą przez napastników. Usłyszał zgrzyt piły. — Przepilnowują pancerną kasę — pomyślał K. — Usiłowałem przypomnieć sobie twarz człowieka z rewolwerem — to się może później przydać, jeśli tylko pozostawią go żywego. Słyszał ciche szepty i nagle wpadło mu w ucho imię: — Marian, więcej oliwy. — Było mu coraz trudniej oddychać.

Nagle poczuł ucisk lufy przyłożonej do głowy. — Słuchaj, stary — usły-

szął groźny szept — nie ruszaj się i nie próbuj krzyknąć. Rano cię ktoś rozwiąże, nie umiesz. Kilka stuknięć, oddalające się kroki i w pokoju zaległa cisza, tylko za oknami turkotał wóz i dzwonił tramwaj. Ani chwili do stracenia! Zaczął pocierać twarz o brzeg kozetki. Udało się. Wypłul z ust knebel. Teraz jeszcze trzeba się podnieść i podejść do okna.

JULIUSZ JANCZUR i HENRYK WALENDA

K r y p t o n i m

Górna połowa okna wychodzącego na podwórze była otwarta. K. podsunął krzesło nogą, wszedł na nie i wieczorną ciszę przesyłało głośnie wołanie: Na pomoc, na pomoc! Zobaczył wybiegającą z sieni kobietę. Była to dozorczyni domu przy ul. Rudzkiej 8, domu mieszczącego Wydział Zdrowia DRN Łódź-Ruda, domu, w którym dokonano rabunku 300 tys. złotych, przeznaczonych na wypłatę pensji pracowników. Po kilku minutach zjawili się pierwsi milicjanci.

OD CZEGO ZACZAĆ?

W miejskiej Komendzie MO trwała narada. Młyny pracowników służby śledczej nie są wesole.

— No więc — odezwał się naczelnik — jak dotąd niewiele wskóraliśmy. Nie wygląda to zbyt wesoło. Sprawa... A propos jaki dalsze kryptonim?

— „Gruba”, kryptonim „gruba” — brzmiała odpowiedź. — Wiecej taka gruba fors... —

— Dobrze. Spróbujmy podsumować dotychczasowe wyniki.

— Meldunek o dokonaniu rabunku przyjął XIV kom-

niesione przez sprawców napadu.

Pies złapał ślad i zaprowadził nas do jednego z domów na Gatec, a następnie do drugiego. U mieszkańców obydwa domów przeprowadziliśmy rewizję. Bez rezultatu. Jeden z podejrzanych przyznał, iż był w Wydziale Zdrowia w dniu napadu, ale znacznie wcześniej, co później potwierdzili inni. Widocznie pies

złapał stary ślad i stąd nieporozumienie. — A może jednak to był dobry ślad, a rewizja spóźniona? — spytał naczelnik — O której posłaliście z psem? — Było chyba około 4 rano. Jeśli chodzi o podejrzanych to jeden z nich ma rzeczywiste nieszczygólną reputację. Był karany za kradzież. Tylko, że on ma mocne alibi, a ponadto od ciskki pozostawione przez napastników nie są odciskami owego P. Na wszelki wypadek pozostaje on nadal pod obserwacją. — Ciągłe kolacje mi się po głowie myślą o tym woźnym — wtrącił się scep-

BICZOWNICY

DOKOŃCZENIE ze str. 2

temperatura, gdzie przysniece i drewniane łoża, poddajemy się zabiegom masażysty, ale jaki to masażysta! Zaden masażysta. Po prostu chwytła wielką drażniczną szczotkę, mydła delikwenta i szoruje. Szoruje mocno i dokładnie, i „każda pora się otwiera”, ale masaż, który później przychodził, to jakby dziadek babkę klepał. A j to zgniewać może, że jak ktoś z biletem za osiem złotych przyjdzie, to pan Józef (mowa o zakładzie przy ulicy Kilińskiego) to pan Józef ledwo go poklepie. A jak ktoś całkiem bez biletu, to się do roboty jako tako przyłoży, i należność za bilet sam zainkasuje. Dziesięciu klientów „lewych” pan Józef zalecia co dnia, a w soboty, to więcej.

Ja mu się dziwię, nie dlatego, że arogancki jest, i że jak nie chce, to nie pracuje, choć ludzie z biletami czekają; ja mu się dziwię, skąd on siły na to szorowanie bierze wbrew niestannemu zatruciu alkoholem. Bo nie ma dnia, żeby pan Józef pijany przy robotcie nie był, kto nie wierzy niech sprawdzi.

Więc po „masażu”, kiedy skóra od szczotki boli, że mało krew nie idzie, o-płukać się trzeba w letniej wodzie, nabrać ceberka zimnej i wejść z tym ceberkiem do komory pełnej pionacej mgły.

Wyblyskują z brunatnej ciemności jakieś twarze nabrzmiałe, fragmenty gestów pierzających przed sobą w tym spazmianiu zupełnym. Schody z listew nasiąkniętych, przeparzonych do cna, prowadzą w górę, gdzie jeszcze boleśniej, i — podobno — zdrowiej.

Tam leżą grubi, bezbronni, wyciągnięci, a drudzy nad nimi rozkraczeni wają leżących pękami brzożowych różg. Tak męczą te witki brzożowe o bezlitosne ciało, aż się lekki, słoneczny zapach brzożowego lasku wkrada w to rude piekło.

Bo już i skóra czerwona, i w oczach czerwono. Czas umykać, jeszcze wprzód tylko ceber zimny na plecy wylawszy.

Następuje rozbicie tkanek z wyrobu „bożego bicia”.

Potem można już wyjść, w korytarzu krzyknąć na pana Andrzeja, co szafit, odmyka i prześcieradła wydaje. Krzyknąć, bo jak się normalnie powie, to pan Andrzej nie słyszy. Alkohol ślepią słuch. E, to pan Józef lepiej się konserwuje.

Owinęty w prześcieradło zmierzasz do sali, gdzie leżą łoża, ale nie drewniane, z materacami łoża. Kładziesz się, owijasz pledem, jedynym, dwoma lub trzema, jak chcesz.

Zanim zaśniesz spokojnie i słodko, rozejrzyj się dokładnie. Oto leżą umęczone grubasy, zbite, zmałtrowane, rozmoczone, opakowane w tuszcz, zadowolone, że lżejsze są o dwa kilo.

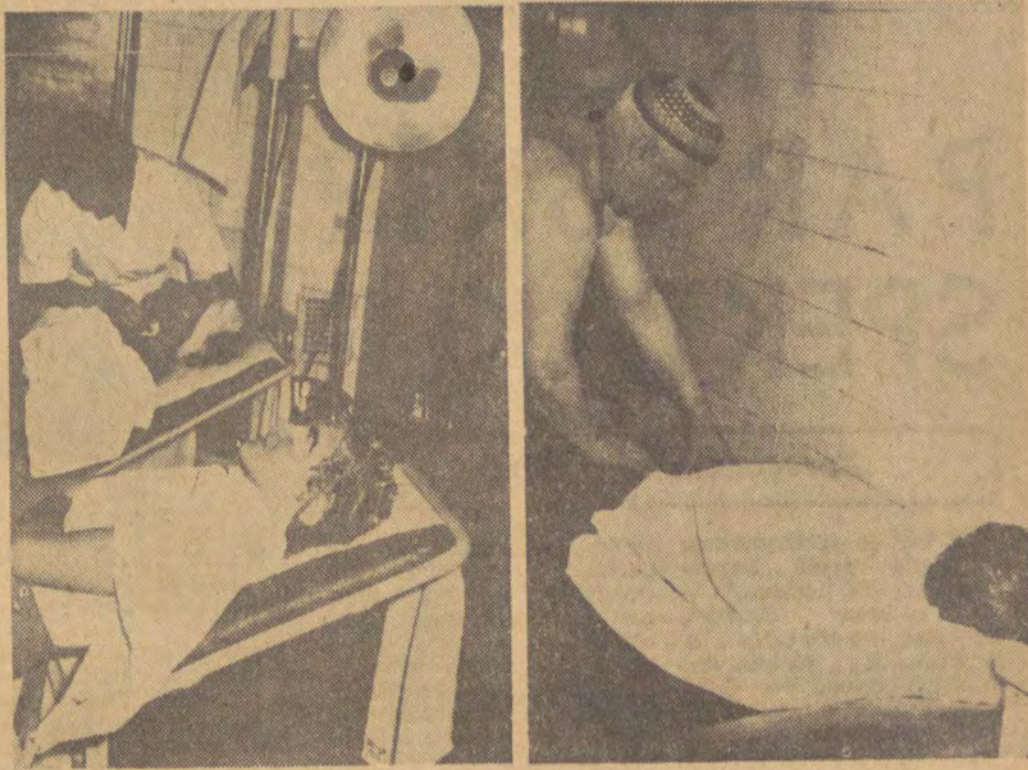
Oni przychodzą tu stale. To jest ich drugi dom. Przynoszą z sobą jedzenie, pół litra, karty. Zgubią w parze dwa kilo, prześpią się, popiją, i znów do pory. Potem w karty pograją, z panem Józefem, z panem Andrzejem. Na forsa, a jakże. Pan Józef w tym czasie klientów nie przyjmuje, „odpoczywa”. Słodkie życie.

Ci ludzie, co przychodzą do łaźni, to urzędnicy, rzemieślnicy, drobniejszego sortu kierownicy, księgowi. Robotnicy tu nie przychodzą. Przede wszystkim dlatego, że nie muszą. Nie widziałem jeszcze tłustego robotnika. Poza tym taka przyjemność kosztuje w sumie dwadzieścia złotych. Po co tyle płacić, kiedy można umyć się pod przysnecem za złoty pięćdziesiąt, czy w wannie za trzy? Tak myślał ci, którzy tu nigdy nie byli. A to dobra rzecz, naprawdę.

No cóż. Nic więcej nie powiem. Nie płacę mi łaźnie za propagandę, zresztą nie wiem jak to się robi. A przydałoby się łaźniom łódzkim propaganda. Ludzie — bo ja wiem — czy mają jakieś prywatne, zakonspirowane łaźnie, czy lubią, tak jak katechizm mówi: „raz około Wielkiejnocy” — dość, że nie przychodzą jakby należało. A no, zobaczmy, jak się z bliska ten problem przedstawia, bo to nie śmiech, tylko problem — odwieczny, narodowy problem mydła.

Niestety, istnieje na terenie naszego miasta zaledwie śladem zakładów kąpielowych — zwierza się nam pani Karwańska, która w Dyrekcji Łaźni Miejskich spełnia jedną z poważniejszych funkcji.

Nie można określić wszystkich zakładów jako „łaźni”, bo rzeczywistych, rusko-rzymskich łaźni mamy tylko dwie: na ulicy Kilińskiego, oraz na Zachodniej 56. Tu zakład dopiero buduje się, ale jest już prawie gotowy. W poszerzonym lokalu mieści się kawiarnia, bardzo miła i kolorowa, zakład kosmetyczny oraz gabinet fizykoterapii.



Oczywiście dotychczas największym powodzeniem cieszy się zakład nr 4, przy ulicy Kilińskiego. Ma on stałą klientelę, którą zadowolą dobremu położeniu w centrum miasta.

Natomiast jeśli idzie o natrysk, to największym na terenie Łodzi zakładem tego typu jest zakład przy ulicy Mielezarskiej. Ostatnio oddano do użytku nowocześnie urządzonego zakład przy Rzgowskiej. Ma tam być zbudowany kryty basen kąpielowy.

Rozmieszczenie zakładów kąpielowych jest na ogół dobre — każda część miasta ma swój zakład. Przepustowość jest bardzo duża, deficyt grozi tylko w dni, przeznaczone dla kobiet. Cóż robić — uśmiecha się pani Karwańska — kobiety nie bardzo lubią się myć. Personel Miejskich Zakładów Kąpielowych, łącznie z administracją liczy sto trzydzieści siedem osób. Dyrekcja stara się o zape-

wnienie klientom jak największej wygody, mają być zaangażowani nowi masażysty. Również i w łaźni przy ulicy Kilińskiego przydałoby się zakład frzżerski. — Kładziemy nacisk przede wszystkim na reklamę — powiada p. Karwańska. — Łodzianie za mało korzystają z naszych urządzeń. Jesteśmy w stanie obsłużyć trzykrotnie większą liczbę osób od tej, która dotąd z łaźni korzysta. — Czy macie w planie budowę nowych ośrodków kąpielowych w Łodzi? — Oczywiście. Tylko za jakiś czas dopiero. Chcemy mieć pewność, że obiekty nie przyniesie deficytu. U-

pewni nas o tym większa niż dotąd frekwencja w czynnych już zakładach.

Opuszczam łaźnię, przybytek piekielnej wody, z uczuciem świeżości, i — że tak powiem — odrzżenia. Miał rację grubas w filcowym pasterskim kapeluszu! I rzeczywiście — schudłem dwa kilogramy. Zostało jeszcze dziewięćdziesiąt osiem, ale tych już nie chce zgubić — bo cóżby zostało? Wynoszę z pionacej mgły dobre samopoczucie, którego życzy każdemu z łodzian przynajmniej dziesięć razy w roku.

Tekst: ANDRZEJ NORBERT
Zdjęcia: WŁ. KRASKA

tyk, spod okna. — Przecież sposób przeprowadzenia napadu wyraźnie wskazuje na doskonałą znajomość terenu. Sprawcy wiedzieli o przywiezieniu do Wydziału grubej forsy, znali miejsce rozwidlenia się drutów telefonicznych w korytarzu, które przecinali, a ponadto wiedzieli, że szafa tylko częściowo zasłania drzwi i nie przylega do nich.

— Tak, ale to może każ-

dokładnie — w innej części miasta.

— Woźny zeznał, że jeden z napastników wszedł do pokoju, gdy on leżał już na kozetce i nie mógł widzieć jego twarzy. Czy nie świadczy to, że mógł to być ktoś, kogo Jan K. znał lub widział kiedyś?

— Drugi napastnik mógł mieć po prostu charakterystyczną twarz lub cechę łatwą do uchwycenia.

— Tak, to też możliwe...

— Znamy ponadto imię jednego z napastników — Marian. Trzeba jeszcze raz zaprosić woźnego pana K. do Komendy...

WOŹNY K. ROZPOZNAJE...

Ubrany w swój najlepszy garnitur Jan K. usadowił się wygodnie, w służbowej „Warszawie”. Obok niego siedzieli dwaj milicjanci w cywilu. Zaczęli

przez kilka dni. Tymczasem przestępcy mogli już być daleko...

Któregoś popołudnia Jan K. przeglądał uważnie stos fotografii. Jego opiekunowie, ludzie którym powierzono zadanie schwywania przestępców cierpliwie przynosili coraz to nowe zdjęcia złodziei, rabusiów i chuliganów.

Nagle Jan K. drgnął i przybliżył do oczu jedno ze zdjęć. Obecni w pokoju z zaciekawieniem pochylili się nad stołem...

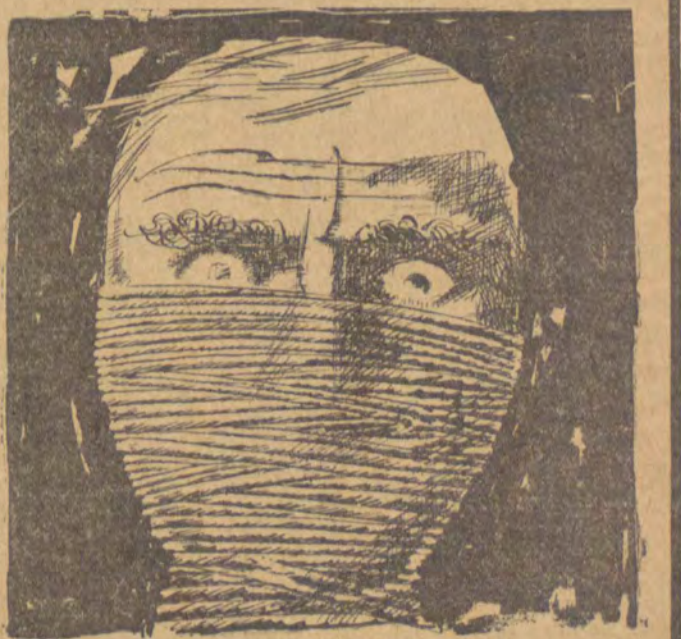
— To chyba będzie ten — szepnął woźny. A po kilku sekundach: To na pewno jest on...

— No, nareszcie — wyrwało się jednemu z milicjantów, a stary człowiek podniósł na niego zmęczone oczy.

— Dziękujemy Wam, bardzo dziękujemy. Jedźcie teraz do domu, a być może jutro się u was zjawimy, jeśli zajdzie potrzeba konfrontacji. Podczas gdy woźny jechał do domu pracownicy służby śledczej wyruszyli na poszukiwanie Antoniego R., człowieka, który został rozpoznany jako sprawca napadu rabunkowego.

MANOWCE ŚLEDZTWA

— Obywatelu K. — zwrócił się jeden z milicjantów do woźnego, który znów siedział w pokoju Komendy MO — Czy jeste-



ście absolutnie pewni, że rozpoznaliście na zdjęciu właściwego człowieka?

— Wczoraj byłam pewny — odparł zapytany — ale dziś już nie. Zrozumcie, widziałem tę twarz tylko przez chwilę. Byłem przerażony i zaskoczony. Kazał mi się zaraz położyć. Sam już nie wiem — stary człowiek bezradnie rozłożył ręce.

— No, trudno. Możecie już iść. Dziękujemy. Gdy za starym woźnym zamknęły się drzwi milicjanci popatrzyli na siebie w milczeniu.

— I znów nic! Ten R. to ładny gagatek, ale z napa-

dem nie miał nic wspólnego. Odciski palców należą do kogoś innego. A poza tym nie było go tego dnia w Łodzi. Ani kroku naprzód.

Ostatnią nadzieją w drugiej grupie operacyjnej. Ta grupa obserwuje Zenona M., który mieszka obok miejsca napadu. Może im się wreszcie uda.

Ale zjawienie się kolegów rozwiła i tę nadzieję. Zenon M., kilkakrotnie karany za różnego rodzaju przestępstwa, tym razem miał czyste sumienie. Skrupulatne badania nie doprowadziły do niczego.

(Dalszy ciąg w nast. numerze)

«GRUBA»

dy interesant zauważyć, który przychodzi do Wydziału Zdrowia. — Wtracił ktoś.

— Tak, ale oni mieli zbyt dokładne wiadomości.

— Ewentualności współudziału woźnego — składający meldunek był wyraźnie niezadowolony z tych przerw — wzięliśmy pod uwagę. Jest to człowiek stary. Zainteresowaliśmy się kręgiem jego znajomych i krewnych. Najwięcej uwagi poświęciliśmy zięciowi, budującemu się właśnie — i niewątpliwie potrzebującemu gotówki. Krytycznego wieczoru nie mógł on być na Rudzkiej, gdyż widziano go — sprawdzono

— W kręgu osób podejrzanych znaleźli się także mieszkańcy domu przy ul. Rudzkiej. Sprawdziłszy także, czy odgłosy piłowania szafy mogły przedostawać się do innych mieszkań. Okazało się, że dom nie jest akustyczny. Wiadomo — stary. To ostatnie stwierdzenie zakończone było westchnieniem — widocznie młody milicjant mieszkał w nowych blokach o cienkich ścianach.

— Jako jedyny konkretny ślad mamy więc tylko odciski palców pozostawione przez sprawców napadu — podsumował naczelnik. — Poza tym śledztwo nie posunęło się ani na krok.

od najbliższego „Savoy’u”, potem „Tivoli”, „Roma”, „Ratuszowa”, „Górniak”. Wszędzie powtarzała się ta sama historia. Milicjanci zamawiali jakąś przekąskę, wskazywali dyskretnie woźnemu ludzi, o których wiedzieli, że mają nieczyste sumienie, i po kilku minutach opuszczali lokal. Tylko raz, gdy wychodzili z prywatnej knajpki na Zachodniej K. zawahał się przez chwilę. Z zamkniętymi oczami zastanawiał się, przywozili na pamięć twarz człowieka z pistoletem w reku, ale potem zdecydowanie potrząsnął głową — to nie on.

Operację tę powtarzali

TRZY PARYSKIE SPEKTAKLE

Korespondencja własna

Tak charakterystyczny dla Paryża „embaras de richesse” — nadmiar obfitości, daje znać o sobie także i w repertuarach teatralnych. Przybysz-turysta, po Louvrze, Versalu i wielu innych obiektach zobaczonych niejednokrotnie „na łapu capu”, decydując się na obejrzenie kilku przedstawień — musi wybierać. W tym wyborze dopomaga mu bądź przypadek, bądź też, nie mówiąc o upodobaniach osobistych, życzliwa rada znajomych, na których głosie można polegać. Ograniczony czasem, zdecydował się na Jonesco, Claudela i Jarryego.

Przedstawienia zaczynają się w Paryżu późno, najczęściej ok. godz. 21. Początek bywa oznajmiany poprzez głucho uderzenie w podłogę. Szatnia nie jest obowiązkowa. Plaszcze z powodem trzyma się na kolanach. Każda najmniejsza nawet usługa, kosztuje. Za wskazywanie krzesła, za uśmiech, za tamto i owo — trzeba płacić. Magiczny mechanizm — pour-boire — napiwek spontaniczny, napiwek grzecznościowy, napiwek obowiązkowy.

Jonesco od trzech lat święci już tutaj swoje niezachwiane triumfy. Teatrzyk „de la Huchette” leży na małej uliczce Huchette, bocznej od Boulevard Saint-Michel. To tutaj, nieprzerwanie przez dwa lata z wielkim powodzeniem wystawia się „Lysą śpiewaczkę” i „Lekcję”. „Wielki sukces w małym teatrze wart więcej, niż mały sukces w wielkim teatrze — i jeszcze więcej, aniżeli mały sukces w małym teatrze” — napisał dowcipny pisarz w programie przedstawienia. Teatr de la Huchette jest rzeczywiście mały, tak mały, że siedząc w pierwszym rzędzie nie trudno dotknąć ręką aktora będącego na scenie. W takim to jednak teatryku można być uczestnikiem prawdziwej upejny teatralnej. Widzowie — najczęściej młodzi — dostają prztyczką w nos. Szli tutaj zobaczyć „Lysą śpiewaczkę”, a nawet nikt o niej nie wspomniał na scenie. Oczywiście, to zasługa i przekorność niezwykle wyobraźni genialnego Rumuna. Jak wiadomo Jonesco napisał tę sztukę posługując się rozmówkami francusko-angielskimi. Fabuła jest skrojona na miarę tych nonsensownych dialogów. A więc dialogów o tym co jedzono, jak jedzono, gdzie jedzono, skonczenie głupich dialogów, w których żona z mężem, po długiej wymianie zdań uświadomila sobie, że sa już od pewnego czasu małżeństwem. Bona wchodząca na scenę mówi: Uwaga, jestem Bona! Strażak „ni przypiał — ni przylatł” robi głupie kawały z dzwonkiem, a kiedy decyduje się w końcu wejść,

ogłasza swobodnie i od niechcenia, że prawie całe miasto już spłonęło. Wszyscy są tak sztywni, jak sztywny jest sens zdań przez nich wypowiedzianych. Nikt sobie nie pozwala na szczerść, w znaczeniu swobodnego zachowania. Mężowie nakazują milczenie żonom jednym mrugnięciem oka, czy zwrótem głowy, żony zaś posłuszne i układne czasem przez nieuwagę wypadają z konwensansu. Publiczność bawi się znakomicie. Na scenie nikt się nie śmieje, próba śmiechu zostaje ukrócona natychmiast, jako próba zamachu na obowiązkową sztywność. Widownia za to pęka ze śmiechu.

„Lekcja”, historia uczeni-cy z obolałym zębem, która chciałaby zdać „doktorat totalny”, zyskuje na scenie Huchette jakiś wykładnik freudowsko-erotyczny. Jest okrutna w swojej głupiej i pozornie bezsensownej grotesce. Służącą gra męzczyzna, uczennica jest nieśmiała, filigranowa i słaba. Profesor jest wielki, czarny i silny — „goryłowaty”. Kiedy ją zabija, ro-

manuje ją, a nie pęka ze śmiechu.



Scena z „Króla Ubu” Alfreda Jarryego

bi to szybko, bardzo szybko, w niezwykłym pośpiechu. Potem jest spocony i dyszący.

Teatr „Vieux-Colombier” po małym Huchette to inny świat. Tutaj grają Claudela. A więc inny wymiar teatralny, inny schemat, a i treści wzniosłe, ostatecznych problemów duszy ludzkiej dotykające. Claudel ostatnio bardzo mody jest w Paryżu. Niedawno stosunkowo zmarły poeta-dyplomata stał się przedmiotem nie tylko zaszczytów i holdów, ale także i subtelnych kpinek. Przyczyna tego zapewne leży w specyficzności jego języka, stylu, problematyki wreszcie. Fraza claudelowska jest ciężka, długa i patetyczna. Nagromadzenie spółgłosek, świadome dążenie do „liaison” — nadaje jego językowi swoiste piękno. Ma to oczywiście swoje uroki, ale może się także nie podobać. „Zakładnika” (L'Otage) wystawiono z celebry. Kiedy gasną światła, majestatyczna, podniosła muzyka organowa wypełnia teatr. Nie wahałbym się nazwać tego dramatu znakomitym.

Pierwszy akt jest może nieco przydługi. Rozsada go retoryka. Drugi natomiast jest teatralnym majstersztykiem. Jest napisany bezbłędnie. Napięcie dramatyczne, kapitalnie rozłożone na poszczególne sceny. Konflikt psychologiczny osiąga tutaj swój punkt kulminacyjny.

A oto pokrótce treść „Zakładnika”: Rewolucja, która wyniosła do szczytów kariery życiowej Napoleona, wstrząsnęła Francją tworząc nowy układ stosunków. W tej sytuacji odbywa się degradacja nobliwych oraz nobilizacja prostaków. Rok 1812. Ukoronowany i silny cesarz od kilku lat więzi w Fontainebleau papieża Piusa VII („Zakładnik”). Cygne de Cofontaine — heroina claudelowskiego „Zakładnika” straciła rodziców, zgilotynowanych podczas rewolucji. Obecnie wykupiła dobrą swą rodzinę na rzecz jej kuzyna, zachowującego tytuł szlachecki, spisującego przeciw cesarzowi — George'a de Cofontaine. Tenże dokonuje czynu niezwykłej odwagi. Wykrada uwięzionego papieża

i przybywa z nim do posiadłości Cygne. Cygne kocha George'a. Miłość zresztą jest wzajemna i wzniosła. Ta miłość ma być dozwolona, przypieczetowana małżeństwem. Sytuacja jednakże komplikuje się. Oto w drugim akcie pojawia się Toussaint Furelure, który jest synem mamki Cygne. Ambitny rewolucjonista, obecnie baron z łaski cesarza i prefekt Marny — słowem znakomite wcielenie parweniusza. Wie on, iż wygnany z kraju Georges przybył potajemnie do Francji, wie także że uwięziony przez cesarza papież znajduje się obecnie ukryty u Cygne. Furelure żąda, aby Cygne została jego żoną, stawiając ją wobec alternatywy: poślubić go lub w przeciwnym razie zarówno Georges jak i papież zostaną odpowiednio potraktowani. Sygne, która brzydzi się, odróżajacym, kulawym Furelure, buntuje się w pierwszej chwili. Pojawia się miejscowy proboszcz, który przejmując na siebie misję obrony Ojca Świętego. Otóż ów proboszcz Badilon rzucając na szalę całą swoją kazuistykę, kłękając co pewien czas, wznosząc ręce do nieba i żegnając się, pokorny lecz uparty, stara się przekonać Cygne o niezwykłości jej misji.

Odwołuje się też do jej uczuć religijnych. Chodzi mu o to, aby decyzja Cygne była aktem dobrowolnym nie zaś wymuszonym. Cygne pod przegierem wielkich słów zgadza się w końcu poślubić Furelure. Jest rok 1814. Paryż okrążony przez sprzymierzone armie Prus, Austrii i Rosji. Cesarz powierza obronę miasta generałowi, baronowi Furelure. Ten decyduje się zdradzić na rzecz króla pod jednym wszakże warunkiem, iż Georges, stronnik królewski, zrzeknie się wszystkich swych praw i tytułów

na rzecz zrodzonego z Cygne syna Furelure. Georges poświęca się dla króla, decyduje się jednak zabić Furelure. Kiedy strzela do niego, Cygne, posłuszna nakazom swej religii i przywiązaniu małżeńskiemu zasłania sobą ciało znieuważonego męża i pada martwa. Furelure za chwilę zabija George'a. Tak kończy się ten dramat.

Zapewne, przekorna i dyskusyjna w każdym razie filozofia tej sztuki, która w sposób tak bezwzględny i bezlitosny obarcza Cygne koniecznością wyboru, może budzić sprzeciw. Cokolwiek byśmy jednak nie powiedzieli na temat jej idei, jest taka chwila, kiedy uświadomiamy sobie, iż obcujemy z wielkim teatrem.

Dziwna rzecz, oglądając „Zakładnika” przywoływałem na pamięć „Grę miłości i śmierci” R. Rollanda wystawioną w Teatrze Nowym. Uderza jakaś wspólnota klimatu tych sztuk. Skojarzenie może usprawiedliwione: czasy to przecież sobie bliskie, a i treści niezbyt odległe.

W Teatrze Nationale Populaire widziałem Ubu-Roi Alfreda Jarryego, w reżyserii samego Vilara.

Teatr Vilara, jako teatr subydiowany przez państwo różni się bardzo od innych teatrów paryskich. Już samo wejście do Palais de Chaillot unaocznia tę różnicę. Żeby przejść na widownię, trzeba minąć co najmniej kilka kondygnacji schodów. Jest tam miejsce i na obrzymim hall i na restauracji. Pour-boire jest zabroniony. Publiczności rozdaje się programy, publikacje TNP, płyty z przemówieniami Vilara. Kilka-nasto minut poprzedzające początek przedstawienia urasta do swoistego ceremoniału. Rozlegają się fanfary. Główny mówca co chwila komunikuje uprzejmie za ile minut rozpocznie się spektakl. Przypomnieć należy jeszcze ambicje artystyczne teatru, staranny i ciekawy dobór repertuaru, liczne spotkania z publicznością i koncerty o charakterze propagandowym, kształcącym. Słowem TNP jest czymś na kształt szkoły kultury teatralnej. Jest też to kultura dla mas w wydaniu francuskim. Duszą tych wszystkich poczyną jest oczywiście Jean Vilar.

Charakterystyczny jest repertuar TNP. Obok klasyków francuskich (Racine, Corneille, Mollere, W. Hugo) spotykamy tam Szekspira, H. von Kleista, Ibsena, a także Czechowa, Pirandella i Eliota. Król-Ubu Jarryego, utwór piętnastoletniego chłopca, inspirowany przez obrazoburczą wyobraźnię, to urocza satyryczna groteska, w której dokonano zarówno deformacji języka, jak i sytuacji, na użytek śmieszności, ku uciesze tłumy i obrzynie mieszczkańskich gości. Premiera tego spektaklu w r. 1896 zakończyła się skandalem. Publiczność wstała i zaczęła gwizdać. Ponięktórzy krytycy na znak protestu opuścili salę. Powodem tego skandalu od pierwszej chwili jest słówko Cambromne'a, wypowiedziane przez Ubu jako pierwsze słowo dramatu, a później wiele razy jeszcze powtarzane.

Postać bohatera jednoczy w sobie wszystkie najgorsze cechy ludzkiej natury: despotą, tyran, tchórz, zarozumiałym cham, żarłok, bezwzględny i tępy władca — oto Król-Ubu. Historia jego dyktatury, wypełniona pociesznymi scenami, świetny dialog dają reżyserowi znaczne możliwości inscenizacyjne. Trzeba pamiętać także, że wszystkie wymienione cechy bohatera dochodzą do głosu w epoce, kiedy strzela się już

TADEUSZ
GIĆGIER

333 fraszki Jana Czarneho

333 — to jakby cyfra magiczna. A skoro cyfrę tę potraktujemy w ten sposób, również predyspozycję autora do fraszek wypadnie tak określić. Przypomniał mi się wyznaczenie Jana Czarneho, które poczynił przed kilku laty, z okazji wydania pierwszego tomu fraszek, w audycji radiowej. Powiedział wówczas, że ilekroć zasiadzie do pisania powieści, komedii czy dramatu — rzecz zawsze kończy się na fraszce.

Tak, w tym jest coś z magii.

Pozwolę sobie zlekceważyć uświęconą metodę dedukcyjną i odwołam się z miejsca do syntezy. Powiem od razu, że jeśli poznaniu sprzyja porównanie, Jan Czarny bliższy jest Lecowi niż Sztaudyngierowi, o ile uznamy Leca za fraszkopisa-myśliciela, a Sztaudyngera za fraszkopisa-poetę lirycznego i żartowniśia. Przy czym, gwoli ścisłości, wypada zaznaczyć, że jeśli Lec ma pewne cechy czy choćby kregi tematyczne wspólne ze Sztaudyngierem, to Czarny odgradza się od nich dość zdecydowanie.

Czytając jego tom, chciałem nawet raz i drugi westchnąć: czemu ten autor, osadzony zresztą wyraźnie w tradycji fraszki polskiej, nie pofolguje sobie tu i ówdzie, nie poswawoli, lecz trzyma się mocno narzuconych sobie rygorów. Proszę mnie źle nie rozumieć: dochowanie wierności rygorom nie musi oznaczać postawy pruderyjnej. Po prostu mam w świadomości jędrną, często rubaszną fraszkę staropolską, a obok niej — epigramat refleksyjny, aforyzm, żart liryczny.

I dochodzę do wniosku, że jeśli słowo „fraszka” wywodzi się z włoskiego „frasca”, gałązka — fraszki Jana Czarneho wiodą swój ród raczej z tego drugiego odgałęzienia.

Ale dość uogólnień. Tym bardziej, iż bez trudu można udowodnić, że pewna powściągliwość decyduje o indywidualnym obliczu fraszki Czarneho. Ponadto zaś już Aleksander Brückner napomknął, że „mnogość wsteczestw naszych fraszek dawnych tłumaczy przyczynę jedne ogólnoludzkie czy autorskie, drugie specjalnie polskie. Ale dziś... nie znośa już wydelikaczone uszy, co ich w XVI czy XVII wieku wcale nie raziło”.

Otóż to. Większość fraszek Jana Czarneho w dziale „Do sztambucha” obraca się, jak przystało na mężczyznę, wokół kobiety. Ale fraszki te napisane są już jednak z myślą o „wydelikacym uchu”, a poza tym frywolność nie jest tu nigdy celem samym w sobie. Weźmy np. fraszkę „Bibliofilka”:

Do zachwyto, literackich
taka była skora,
że nie brała do poduszki
książki bez autora.

Lub fraszkę „Małżeństwo doskonałe”:

Nic dziwnego, że jedzą chleb z jednego pieca:
on zarabia na boku, a ona na plecach.

To przecież równocześnie jakieś signum temporis.

W kwestii płci postawa autora streszcza się we fraszce „Do...”:

Samo ciało
to za mało.

Tom Czarneho zawiera sześć działów, z których dział „Do sztambucha” jest bodaj najskromniejszy — oczywiście w sensie liczebności. Bo Jan Czarny kpi sobie z tylekroć podkreślanym niebezpieczeństwem, jakie twórcom niesie tzw. satyra aktualna — i ma ambicję być właśnie satyrykiem aktualnym, współczesnym, politycznym.

Stąd w dziale „Portrety i dedykacje” fraszki takie jak „Patriota”:

Zakochał się w ojczyźnie,
tu skubnie ją, tam liźnie.

O wartości tej fraszki świadczy dla mnie fakt, że spotykałem ją w wersjach innych autorów, wersjach gorszych, jak to zwykle dzieje się z plagiatami. W wielu fraszkach, zwłaszcza tych „klasycznych” już dla swego piarstwa, Jan Czarny, nie przestając tkwić w dniu dzisiejszym, osiąga ów najtrudniejszy pułap „wiecznościowy”:

UPRZEJMY

Uprzejmy do przesydy,
ale przysiąc mogę,
że choć idzie na rękę,
uciąż podstawiła nogę.

„Portrety i dedykacje” nie zamykają wszystkich — proszę wybaczyć niezręczny epitet — moralistycznych fraszek Czarneho. Rzecz znamienita, że przynosi je również dział „Muza na urlopie”, np. fraszka „Pokaz”:

Popatrzcie, jak on sličnie
się zalamuje psychicznie.

— dział „Podręczne Zoo”, choćby „Przysięga bramiń”:

Przysięgamy ci, święto krowo
że doimy cię idewo.

— a także dział „Fraszki bez rymów”, który jest jakby dopełnieniem rymowanych „Portretów i dedykacji”:

KIEDY...

Kiedy bierze się do ręki kij — demokrację trzeba zawiesić na kolku.

O POMNIKACH

Czy nie należałoby pomników budować od razu na kółkach?

O PRAWDZIE

Dwa razy po pół prawdy, to jeszcze nie jest cała prawda.

Fraszki bez rymów wprowadzają z powodzeniem paradoks, tak cenny w twórczości epigramatycznej. Istnieje przecież definicja fraszki, utrzymująca, że

(Dalszy ciąg na str. 11)

(Dokończenie na str. 10)

— 21 —

Statek kosmiczny „Meteor” wyruszył na Oberona, księżyc Uranu, w celu zdobycia bezcennego pierwiastka, zwanego levium, a odkryte przed laty przez zmarłego już astronautę Tom Laurella. Po przybyciu na drugiego satelitę Uranu, Tytanię, załoga opuściła statek i udała się do Księżycowego Miasta, gdzie

od znanego aferzysty, Charlesa Berdota, wypożyczono sprzęt antytermiczny niezbędny przy lądowaniu na Oberonie. Tymczasem „Meteor”, na którego pokładzie znajdowała się córka Laurella, Alina, został opanowany przez wystaników wszechwładnej Kompanii, również dążącej do zdobycia levium...



ęce Sydneya szybko wyskoczyli do góry.

— No! — cicho krzyknęła Alina. — Ale jak...

— Jonny, oni czekają na ciebie przed wejściem — powiedział z podnieceniem Wayty. — Strzelali do nas nasennymi kulami.

— Wiem — odrzekł Nort.

Zrewidował kieszenie Sydneya nie odrywając broni od jego pleców. W jednej z kieszeni znalazł pistolet z zapasem nasennych ładunków.

— Alino, niech pani rozwiąże Wayty i pozostałych — szybko powiedział. — Sydney, proszę czuć się plecami o ścianę. Pilnuj go, Wayty.

Schwyciłszy pistolet z nasennymi kulami, Nort przesłiznął się przez mostek do szluzy. Trzech ludzi Kompanii ciągle stało przed wejściem czujnie wpatrując się w zielonkawy zmierzch. Nort wycelował i wystrzelił. Prawie bezdźwięczny strumień powietrza sprężonego wyrzucił z lufy lekko świszczące pociski. Trafiły one w ramiona i głowy stojących ludzi i eksplodowały bez dźwięku, pozostawiając w powietrzu błękitnawy obłoczek gazu.

Wszyscy trzej chcieli się odwrócić i nie dokonali tego ruchu. Pochylił się i upadli.

Nort odciągnął ich bezwładne ciała

od statku i machnął kilka razy ręką.

— Connor! Berdot! — krzyknął. — Gotowe!

Posłyszał stuk rakietowej ciężarówki. Nie zapalając reflektorów samochód przemknął przez kosmoport ku „Meteorowi”.

Nort powrócił do głównej kajuty. Sydney był już przywiązany do jednego z foteli sprężynowych.

— Musimy natychmiast odlatywać — powiedział Nort. — Tutaj są oficerowie Kompanii. Przyjdą im z pomocą.

— Jak ze sprzętem? — krzyknął Wayty.

— W porządku — odrzekł Nort. Opowiedział im pośpiesznie o swojej transakcji z Charlesem Berdotem.

Do kajuty zajrzała podniecona twarz Connora. Za nim wszedł Charles Berdot i Stenny. Nort przedstawił wszystkim Berdota. Czarne oczy aferzysty zatrzymały się na dziewczynie.

— Nie wiedziałem, że będą miał taką zachwycającą partnerkę, miss Lourelle — powiedział błyskając zębami w uśmiechu.

Nort stanowczo przerwał mu.

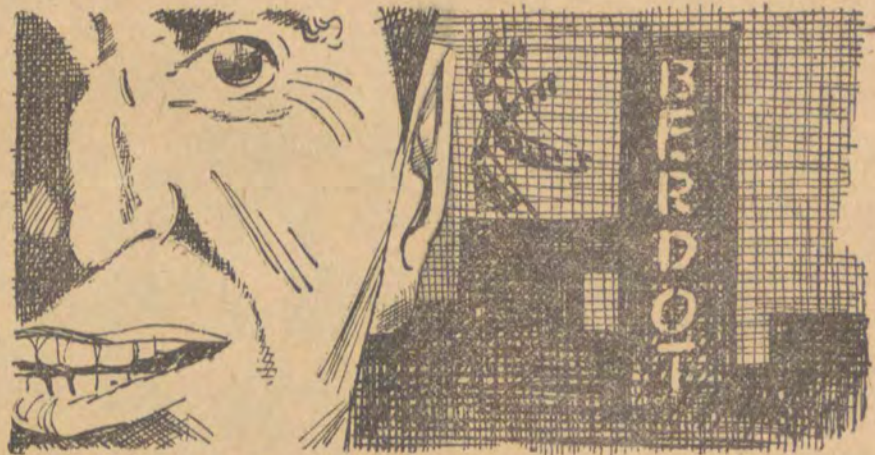
— Musimy czym prędzej wnieść sprzęt. Niebezpieczna jest każda chwila zwłoki. Pójdę, aby z powrotem umocować dyszę. Connor mi pomoże.

Wyszedł pośpiesznie na zewnątrz. Tenning z towarzyszymi już zaczęli wnosić do środka ciężkie antytermity.

Nort zbliżył się do rufy „Metora”. Szybko ustawił kryzę a następnie razem z Connorem podniósł ciężką dyszę, umocował ją i zaczął przyśrubowywać.

Dokręcając dyszę kluczem automatycznym, posłyszał, że na statek wniesio-

— 22 —



no ostatni z antytermitów. W tej chwili ktoś go chwycił za rękę.

Błyskawicznie odwrócił się z dłońią na pistolecie. Lecz to nie był nikt z ludzi Kompanii. To była dziewczyna w krótkiej, białej sukience z jedwabiu syntetycznego.

— Pilotcie, przysłał pana ostrzec — rozległ się jej gorączkowy szept. — Pan nie chciał mnie słuchać tam, w „Pałacu Radości”.

— Nova Smith — Nort był zaskoczony. Dlaczego pani ugania się za nami? Dziewczyna mocniej ścisnęła jego rękę.

— Niech pan słucha! Berdot chce was oszukać! Słyszałam jak rozmawiał z Tenningiem w „Pałacu Radości”. Zamierza napaść na pana i pańskich przyjaciół, jeszcze przed odlotem. Nie chce, abyście lecieli bez niego. Chce zawiadnąć całym levium dla siebie!

— Zwariowała! — jęknął Connor. — Co za absurd!

— Mówię panu, że to jest prawda! — krzyknęła Nova. — Pan wyświadczył mi przysługę, więc postanowiłam was ostrzec.

Wszystkie podejrzenia Nort co do Berdota odżyły na nowo. Cały czas zastanawiała go dziwna przychylność awanturnika. Wyciągnął pistolet atomowy i pośpiesznie zszedł do Connora:

— Mike, za mną! Niech pani tu zostanie, Nova.

W tej chwili z wnętrza „Metora” rozległ się głośny jak uderzenie pioruna, wystrzał broni atomowej.

— Spóźnił się! — ryknął Connor rzucając się naprzód.

Nort wyprzedził go. Wpadł do kajuty. Na podłodze leżał Hansen z pierśmią czarnymi od postrzału. Wayty i Dorak stali z podniesionymi rękami.

Charles Berdot spoglądał na Nortę spoza ramienia Aliny. Pistolet jego przylegał do pleców dziewczyny.

W tej sytuacji nie można było weszczynać walki. Nort i Connor odrzucili swoją broń. Nagle Nort posłyszał za sobą okrzyk przerażenia. Berdot zauważył Novę.

— Więc to ty ich ostrzegłaś, Nova? — powiedział Berdot. Będziesz tego żałowała.

Connor spoglądał na trupa Hansena. — Zabili Hansena — mruczał w osłupieniu. — Hansena, z którym latałem trzydzieści lat. Nie, to niemożliwe. Dlaczego?...

Nort spojrzął na Filipa Sydneya, który patrzył rozszerzonymi z przerażenia oczami z fotela, do którego był przywiązany.

— Teraz słuchajcie! — zaskrzyptał głos Berdota. — Jedziemy na Oberona po to levium. Tylko, że ekspedycję prowadzi obecnie ja!

Nort zmusił się do spokoju:

— Berdot, te dziewczęta nie pomo-

— 23 —



gą panu szukać levium. Niech pan je zostawi tutaj.

— Nie zostawię nikogo, kto by na mój ślad naprowadził Kompanię — uciął aferzysta. — Zwłaszcza Novy. Mam w stosunku do niej specjalne zobowiązania. Co się tyczy miss Lourelle, jest ona moim głównym atutem. Ani ja, ani moi ludzie nie umiemy kierować rakietą. Ale wasi ludzie umieją. Nort i pan to zrobi dla mnie. Pan to zrobi, bo Tenning cały czas będzie trzymał miss Lourelle na muszce.

Alina Lourelle zwróciła się do Nortona. W jej ciemnych oczach błyszczały łzy, lecz głos był spokojny.

— Nie boję się, John — powiedziała. — Niech pan robi to, co uważa za najlepsze, i nie zwraca uwagi na jego groźby.

Nort zrozumiał, że jest zwyciężony. Bez względu na to jak bardzo pragnął zapłacić za śmierć Hansena, nie mogli tego uczynić, gdyż naraziłby Alinę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Po cichu rozmówił się z Waytym, Connorem i Dorakiem.

— Obstawiaj nas, chłopcy. Musimy się podporządkować.

— To rozumiem — zgodził się Berdot. Awanturnik śmiał się, spoglądając na nich ironicznie. — Miss Lourelle, potrzebne mi są notatki pani ojca o tym gdzie i jak poszukiwać levium. Niech mi pani je da lub każę Tenningowi, aby panią zrewidował.

Alina rzuciła z pogardą pośódkły arkusik papieru. Czarne oczy hochstaplera rozjarzyły się jeszcze mocniej, gdy przeczytał mgliste słowa starego Toma.

Następnie powiedział:

— Niech pani siada na tym fotelu, miss Lourelle. Tenning, zajmij miejsce na przeciwko i nie spuszczać z niej oczu. Pozostali przygotowują się do natychmiastowego odlotu. Nort, do kabiny.

Darm wyrzucił ciało Hansena na zewnątrz i zamknął właz statku. Connor, pilotowany przez Kellsa, włączył cyklotrony.

Berdot wskazał Nortowi naabinę nawigacyjną i wszedł tam za nim. Gdy Nort powoli sadowił się na miejscu pilota, Berdot przywiązał się do sąsiedniego fotela.

— Na Oberona! — rozkazał krótko.

— 24 —

Nort chwycił za dźwignię. Gardło mu zaschło, całe ciało drżało z podniecenia.

— Kontakt! — krzyknął ochryple i nacisnął pedał Stary „Meteor” wśród ryku dysz rakietowych rzucił się do góry.

Skośnie wzносиł się nad zielonymi dżunglami Tytani. Ryk przecinanego powietrza prędko ustał: stały krążownik wyszedł w przestrzeń. Oibryzmia masa mglisto-zielonego Uranu migotała z lewej strony.

Blisko milion kilometrów dzieliło ich od matowo-purpurowej kuli Księżyca Gromowego. Statek grzmiał dyszami rufowymi, wziął kierunek wprost na niego.

Ostatni, zewnętrzny towarzysz Uranu, był najdziwniejszym ze wszystkich ciał niebieskich systemu słonecznego.

Srednica jego nie przekraczała tysiąca mil i dawno już powinien był uspokoić się i ostygnąć.

Lecz Oberon nie ostygł. Jakkolwiek większa część jego powierzchni już stwardniała, to pod twardą korą szalał nigdy nie gasnący ogień, mający źródło w wysokim stopniu promieniotwórczości jądra. Płomienie tego ogniściego serca niestannie wydostawały się przez kratery i pęknięcia kory oraz wrzały płynną lawą wielkiego Oceanu.

Spowity w ponurą, ciemną mgiełkę, wulkaniczny księżyc, w miarę zbliżania się do niego, stawał się coraz straszniejszy.

Nort powiedział do awanturnika:

— Czas na włączenie antytermitów.

Czarne oczy Berdota zwały się:

— Dobrze, Nort, może pan zawołać kogoś ze swoich przyjaciół i przekazać mu sterowanie.

Norta zmienił Dorak. Oczy starego astronauty z nienawiścią spoglądały na Berdota. Przejął jednak kierowanie, nie mówiąc ani słowa.

Po wejściu do głównej kajuty Nort zwrócił się do Aliny. Dziewczyna była bardzo blada, lecz spokojna. Sydney, siedzący obok w fotelu, mówił coś cicho do niej. Krępy Tenning siedział nieruchomo z pistoletem skierowanym w stronę dziewczyny.

— Czuję się dobrze, John — szepnęła Alina w odpowiedzi na milczące pytanie Norty.

— To jest pana wina — wybuchnął Filip Sydney. To pon doprowadził do tego.

Nort nie odrzekł. Wiedział, że wyrzut młodego oficera był więcej niż usprawiedliwiony. Rozejrzał się po kajucie:

— Gdzie jest Nova?

— W mojej kajucie — odrzekła Alina. — Dałam jej kurtkę i spodnie. Nie może przecież chodzić w tej sukience.

Nort podszedł do Wayty.

— Trzeba włączyć antytermity. Wkrótce lądujemy na Oberonie. Potrzebna mi jest twoja pomoc.

Tenning, który uważnie przysłuchiwał się ich rozmowie, rzucił rozkaz młodemu człowiekowi w końcu kajuty:

— Idź z nim, Darm.

Przeciskając się przez wąskie przejście do przedziału cyklotronów, Nort cicho szepnął do jednorękiego oibryzma:

— Gdyby jakoś zdobyć pistolet atomowy i rozwalić tego bydlaka Tenninga...

— Niemożliwe, Johnny — odpowiedział szeptem Wayty — Darm i Kells zrewidowali cały statek. Nie mamy broni...

— Hej tam! — ryknął za nimi Darm.

— Nie szeptać ze sobą!

W ciastym przedziale cyklotronowym, który dygotał od równego tętnienia dużych maszyn, spotkali Connora i Kellsa.

Wzięli się do przyłączenia masywnych antytermitów do cyklotronów. Darm i Kells nie odrywali od nich wzroku. Gdy zatrzymali się jednak na chwilę, aby podłączyć przewody zasilające, Nort znalazł sposobność, aby szepnąć Connorowi:

dalszy ciąg nastąpi

Z teczki protokołów MO

„21 marca 1959 r. udałem się wspólnie z Marianem Filipeckim i Andrzejem Nowickim do lasu Zwierzyniec. Natknęliśmy się na leżące tam pociski artyleryjskie, które Nowicki zaczął rozkręcać rękami. Ja widząc to odszedłem w bok obawiając się wybuchu. Około 25 m od tego miejsca usiadłem na ziemi i graliśmy z Filipeckim w noże. Po upływie 30 minut usłyszałem detonację i zobaczyłem czarną chmurę dymu unoszącą się do góry. Gdy pobiegłem na miejsce wypadku zauważyłem leżącego pod drzewem Andrzeja Nowickiego, który nie dawał znaku życia. Widziałem, że miał poszarpaną twarz i ręce, i nogi. Jeszcze wcześniej Nowicki mówił do nas, że chciałby z pocisku wyjąć żółty proszek do strzelania w święta wielkanocne“.

Zbyszek M.



Komendant powiatowy MO w Skierniewicach, który prowadzi reportera „Odgłosów“ po wertepach zwierzynieckich lasów.

ZWIERZYNIECKI ARSENAL

Tekst
i zdjęcia
W. MACHAJKO

Andrzej miał 18 lat. Kto winien jego przedwczesnej śmierci? On sam — powiecie. Pewnie, nie trzeba było rozbierać niewypałów. Jego drugi kolega Marian napisał w swoim zeznaniu dla władz: „Ostrzegaliśmy go przed tym. Mówiliśmy, że na Kronicy pokazywali jak się kończy takie rozbieranie“.

Tragiczny wypadek o którym mówimy zdarzył się w marcu tego roku w lesie Zwierzyniec koło Skierniewic. Zwierzyniec, to coś w rodzaju naszych Łagiewnik — piękny las brzoźowo-sosnowo-świerkowy, położony 5 km od miasta. Miejsce wypoczynku, majówek letnich, zabaw, wycieczek, zbiorów harcerskich. Dopie-

ro w roku 1959 a więc 14 lat po wojnie tragiczny wypadek naprowadził władze na trop jeszcze jednej tajemnicy ostatniej wojny.

W pobliżu Skierniewic zgrupowali Niemcy wiele jednostek wojskowych. Szykowali się tu zapewne do długotrwałej obrony, skoro las zwierzyniecki przerobili na wielki skład amunicji. Wybudowano w tym celu specjalną bocznice kolejową, urządzono sieć dróg prymitywnych wprowadzając, ale świetnie spełniających swe zadania. Same magazyny, których planu zdobyć dziś już niepodobna, rozrzucone były po lesie i mieściły się w ziemiankach, dobrze obudowanych drzewem. Dziś pozostały po nich tylko liczne wgłębienia w ziemi, wypełnione zarzewiałymi kałużami pocisków artyleryjskich rozmaitych kalibrów, minami przeciw piechocie granatami... Kto zresztą odnajdzie to co kryje się dziś jeszcze pod płytką warstwą ziemi, pod korzeniami młodych brzoźek obficie porastających zbocza dolin?

Ludzie po wyzwoleniu szukali gwałtownie materiałów na naprawę zniszczonych domów i obiektów gospodarskich. Świetnie utrzymane bunkry, wartownie, magazyny pocisków i domki mieszkalne nikomu już niepotrzebne, mogły dostarczyć tego materiału i to darmo. Do Zwierzynca ciągnęły istne pielgrzymki. Deski i belki wywożono stąd wozami, wynoszono na plecach. Skrzynie z pociskami artyleryjskimi transportowano dalej w głąb lasu, ostrożnie i delikatnie, lub też po prostu zostawiano je w dolach pozbawionych obudowanych ścian i dachów. Kiedy brakło już desek i belek, znów ostrożnie wysypano pociski ze skrzyń i zabierano drzewo. Jeśli amunicja została w dolach, obsuwające się ściany zasypały ją, gorzej gdy po prostu leżały rozrzucone po lesie. Wiadomo, że pocisk rdzewiejąc nie traci bynajmniej zdolności detonacyjnych, przeciwnie na wewnętrznej powierzchni powstają nowe związki chemiczne, które re-



W każdym dole można coś znaleźć...

agują często na lekkie tylko dotknięcie...

Po lesie zwierzynieckim przez 14 lat czaiła się śmierć, aż w końcu doczekała się swej pierwszej ofiary. Nie apele, nie wstawki Kroniki Filmowej, nie alarmujące artykuły w gazetach, wreszcie nie objeżdżająca kraj wystawa milicyjna, na której pokazano zdjęcia ofiar niewypałów, ale dopiero śmierć Andrzeja zwróciła uwagę władz na niewypały.

Do Zwierzynca zjechali saperzy, a w prasie łódzkiej ukazała się notatka o odkryciu pod Skierniewicami wielkiego niemieckiego magazynu broni i amunicji, którego likwidacja potrwa rok... Na pewno potrwa rok, jeżeli likwidację tę będzie się prowadziło w dotychczasowym tempie.

Kiedyś chodzili po tym lesie i oglądali pociski, z których każdy mógł niedopuszczalnie do powstania tego reportażu, por. Jakubowski z WSW mówił, że tym rejonem opiekują się saperzy aż z leko, ale byli już tu, pracowali, po nich nawet został napis wymalowany smółką na siedzeniu krzesła: „Uwaga! niewypały“ Nie stać nas widzieć ani na odpowiednio krzykliwe tablice, chorągiewki, ani znaki ostrzegawcze, nie stać nas też na taką liczbę brygad saperkich, które w krótkim czasie i gruntownie byłoby zdolne przetrząsnąć daną powierzchnię lasów, oczyścić ją z niewypałów i z czystym sumieniem podpisać protokół zdawczy. Tymczasem, szczególnie dla reportażysty pikantny: już dwukrotnie w latach minionych lasy zwierzynieckie były kontrolowane przez saperów i dwukrotnie podpisywano protokoły, że teren bezpieczny. Że były one nieprawdziwe, a kontrola nie dość uczciwa, świadczy najlepiej wypadek z Andrzejem, świadczą i zdjęcia załączone do tego reportażu. W lasach zwierzynieckich pociski leżą na wierzchu w dolach o wilgotnym dnie, pod krzakami. Nie trzeba ich daleko szukać. Są też pociski lekko przykryte ziemią. Kiedyś — opowiada znów porucznik Jakubowski — saperzy znieśli do jakiegoś dołu parę niewypałów i wywołali ich eksplozję. Detonacja była tak silna, że ujrzała w zdumienie największych speców od pirotechniki. Okazało się, że płytko pod dnem dołu leżało kilkadziesiąt innych pocisków, które również eksplodowały.

Oczywiście, oczyszczenie lasów z niewypałów nie jest wcale łatwą sprawą. Wymaga z jednej strony wysoko kwalifikowanych kadr saperkich, poświęcenia, czasu. Tymczasem wypadki o jakich słychać z różnych stron kraju każą naszym saperom jechać coraz gdzie indziej, rozbijając namioty. Najwyższy jednak czas na zorganizowanie planowej ogólnokrajowej akcji poszukiwania i likwidację przynajmniej większych skupisk niewypałów grozących stale ludziom i leśnej zwierzynie.

Saperzy zbierali niewypały w

lasach zwierzynieckich. He? Jak dużo jeszcze zostało? Odjechał kilka godzin przed naszym przybyciem. Znaleźliśmy ślady ich pracy, male dolki wykopane wojakowymi łopatkami tu i tam. Pracują „na macanego“. Bo nikt nie zna dokładnych planów, niemieckich magazynów. Ale czy nie warto wcześniej, zanim się przystąpi do tego rodzaju poszukiwań przesłuchać ludzi z okolicy, być może pracowali przy budowie magazynów amunicji, może pamiętają jak były położone?

Reportażowi temu chciałem nadać tytuł „Wojna nieustająca“. Bo wojna nawet gdy się formalnie zakończy podpisaniem traktatu pokojowego, pozostawia po sobie obok innych niezliczonych ran — niewypały, które niosą śmierć jeszcze przez wiele lat potem...

Niedawno prasa doniosła o tym, że koło Rzeszowa kilku robotni-



Uwaga! niewypały

ków znalazło podczas kopania rowu kilka glinianych bamiel Myśleli — wódka, wzruszyli korki kilofami. Był to iperyt, jeden z najstarszych gazów bojowych, którego aktywność nie maleje nigdy. Robotnicy ulegli poważnym poparzeniom i zatruciom. Iperyt, jak wiadomo, był używany podczas pierwszej wojny światowej...

Trzy paryskie spektakle

(Dokończenie ze str. 8)

z karabinu maszynowego. Zamach stanu czy egzekucja mogą mieć przebieg szybszy o tyle, o ile skuteczniejszy jest pocisk od szabli czy stryczki.

Przedstawienie Vilara jest napewno interesujące. Odnosi się jednak wrażenie, że reżyser nie wykorzystał wszystkich możliwości tkwiących w poszczególnych sytuacjach. Jego inwencja zatrzymuje się jakby na pewnej granicy. Daje to mimo wszystko wrażenie pewnej sztywności. Kiedy do przedstawienia dyskutowałem z grupą Polaków, wykrzyknęliśmy jednocześnie: Dejmek! Jakby to Dejmek zrobił! Właśnie to nazwisko narzuca się od razu do obejrzenia Ubu-Roi. Trudno mówić o tym, co nie jest, i być nie może,

nie będzie nigdy dziełem łódzkiego reżysera. Jednakże mając w pamięci znakomite „Święto Winklerida“, utworów pokrewny nieco duchem satyr i groteski „Królowi Ubu“ nie trudno wyobrazić sobie jak rozbudowałby i wypełnił tekst Jarry'ego twórcą łódzkiego „Żywota Józefa“. Vilarowi — powiedzmy to paradoksalnie — zabrakło lekkości Dejmka.

Wychodząc z tego przedstawienia miałem pewne zadowolenie wewnętrzne. Jeszcze raz, po obejrzeniu wielu filmów i kilku spektakli, utwierdzam się w przekonaniu, że winniśmy pozbyć się niejednokrotnie bezpodstawnych, odrętwiałych kompleksów wobec zachodniej sztuki.

WŁODZ. KRYSIŃSKI

333 fraszki Jana Czarnego

(Dokończenie ze str. 8)

jest to nagle śpięcie, zaskakująca błyskawica intelektu.

TYP

To podejrzany typ. Wszyscy mówią o nim dobrze, O JEDNYM

Wywyższyła go równość.

Fraszka od wieków lubuje się w sztucznych słownych, ucieśnych kalamburach. Nie obce są one również Janowi Czarnemu:

ZDARZENIE

Zbił malarza pewien ob. raz
Za obraz? — Nie, za obraz...
Częściej jednak, niż gra słów, dochodzi do głosu w tomiku gra pojęć:

NA JEDNEGO MALARZA

Choć się jego płótna cenę,
zawsze płótno ma w kieszeni.

Celowo zestawiam fraszki o podobnym temacie, z których drugą stawiam wyżej. Wypada jednak stwierdzić, że w tomie nie ma fraszek „puszczonych”. Jeśli nawet ta czy owa fraszka nie zawiera dowcipu, jest najczęściej ciekawa pod względem obyczajowym.

Powiedziałem, że autor „333 fraszek” to satyryk aktualny. Czy również regionalny? Owszem, jest w zbiorze kilka — ale tylko kilka — fraszek na tematy łódzkie. Na szczęście, Wydawnictwo Łódzkie ma ambicje przelamywania naszych prowincjonalnych kompleksów. A także ambicje kształtowania naszego poczucia humoru. Dzięki temu miłośnicy fraszek otrzymali do rąk ładnie wydaną książkę, może tylko w zbyt skąpem nakładzie. Rzecz jednak w tym, że ukazała się w Łodzi — tu znowu sięgnę do Brücknera — pozycja z „nie ostatniego działu piśmiennictwa, które humorem czy komizmem przeważnie świeci”. A ponoć, jak rzekł już ktoś przede mną, humor jest oznaką mądrości człowieka.

Jan Czarny = „333 fraszki” — obwolutę, stronę tytułową i ilustracje projektował Henri Pontain = Wydawnictwo Łódzkie 1959 r.

Mieszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

POEZJA

Na murach widzieć i na parkanach
to tylko hasło: „Obywatele,
kochajcie kwiaty!”

Niech każdy urząd ma krasnoludka,
który każdziutką zalatwi sprawę
bez komplikacji.

Gdy się nocować musi w Warszawie,
ach, bez łapówki niechże w hotelu
znajdzie się pokój!

Dygnitarzowi, co chce przemawiać,
dać flet do ręki, by słodko gwizdał
przed zebranymi.

Jeżdżących w teren konferansjerów,
by ich nie bito, nauczyć paru
dobrych dowcipów.

Czuć się bezpiecznie nie tylko w lasach,
lecz i w miasteczkach, osadach, miastach
o każdej porze.

Niechaj apteki mają na składzie
skuteczne środki na porost włosów
oraz na katar.

Gdy pójdzie miła przez ciemny wieczór,
niechaj w latarniach gwiazdy rozbitą
zamiast żarówek.

Z notatnika

Kaliksta Łasiczki

Notes w ceratowej oprawie, popstrzony przez muchy i nieco prześliniony od częstego kartkowania — oto wygląd zewnętrzny pamiętnika Kaliksta Łasiczki.

Zresztą, czy można notes nazwać pamiętnikiem? Najwięcej miejsca zajmują w nim liczby. Są to osobiste dochody i wydatki znakomitego poety. Urywki prozy, dyspozycje wierszy — również niemało zajmują miejsca. Wreszcie cały szereg aforyzmów i złotych myśli, adresów przyjaciół ze Skromnej Miłosnej, numery kolarzy, butów i telefonów składają się na barwną i wielce wymowną całość.

Należy przy tym podkreślić, iż notatki następują po sobie bez jakiegokolwiek związku merytorycznego, co także rzuca światło na mało dotąd zbadaną osobowość poety. Znajdujemy tam numery kolarzy i szkic anonimu obok złotej myśli, wydatek na szpilki do włosów dla trzydziestoletniej sierotki obok urywków wiersza lirycznego, przepis kucharski na sos pod cytata z gazety.

Dzięki temu charakterowi pamiętnika trudno na razie stwierdzić, co stanowi twórczość zupełnie oryginalną, a co zapożyczoną lub wprost skądinąd przepisana. Zostawiając tę niewątpliwie żmudną, ale i jakże wdzięczną pracę — polonistycznym seminarium uniwersyteckim — ograniczamy się na razie do zaprezentowania kilku zaledwie katek (od str. 17 do 29!) bez podejmowania jakichkolwiek prób badawczo-wartościujących — wpływo logiczno-krytycznych...

Ho, hej!

Orzeł nie powinien uganiać się za muchami.

Odwiedził mnie pan Fijas z Nowego Sącza. Spłakaliśmy się jak trzy kuropatwy!

Od sinych fal Bałtyku po chmurne szczyty Tatr...

Wiosna —

radosna!!!

2. 2 = 9

Kto nigdy nie tańczył bluesa z żoną naszego burmistrza, ten nie zaznał prawdziwego uroku życia.

Cukier krzepi! (podobne hasło znajdujemy w twórczości innego znanego pisarza, Melchiora Wańkowiaka — przyp. nasz).

Są chwile w życiu narodu!

Wczoraj znowu trzymałem rękę na pulsie wydarzeń. Zmoczyłem się!

Fakt ten nie wymaga komentarzy. (Jaki fakt? — przyp. nasz.)

Jasne szerokie spodnie i kamaszki z czerwonej gieny — oto cel, o którego osiągnięcie naprawdę warto walczyć.

Silni, zwaśni, gotowi.

Mleko jest koloru białego, a kolor włosów bywa różny.

Prrrr!!! No, to cyk!!!

Trzydziestoletniej sierotce powtórnie na szpilki do włosów 2.00 zł.

Ach!

Radio zawsze można wyłączyć! I to jest zachwycająca przewaga tego wynalazku nad gadatliwą kobietą!

Nie jedzcie odgrzewanych buraczków duszonych.

Podróż samolotem!

Dziś od południa znowu pada deszcz! Wolalbym, żeby świeciło słońce.

2. 2 = 3

3. 7 = 72

Do kotka dziś zawolałem: kiciu, kiciu! Bardzo mnie to wzruszyło.

Wczoraj wezwał mnie do swego gabinetu naczelnik i powiedział — Łasiczka, ty jesteś jak stolowa noga!

— Dlaczego, panie naczelniku? — skromnie zapytałem.

— A bo ja wiem! — odpowiedział pan naczelnik i rozplakał się!

NA UPALY

Ponieważ nie jesteśmy w stanie dostarczyć naszym Czytelnikom lodów lub lemoniady w upalne dni — przeto dla ochłody reprodukujemy poniższy pejzaż zimowy. Na pierwszym planie śnieg i oszronione krzaki, na drugim — także śnieg i oszronione krzaki!



Redaguje Zespół C Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” C Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 66 Iel. 244-7a Warunki prenumeraty: miesięczna 4,- zł kwartalna 12,- zł Redakcja nie zamawia kopii nie zwraca C Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Bezpłatnie oraz PUPIK „Ruch” - Łódź, al. Roosevelta 17 Konto PKO - Łódź 1 - 4-578 z zastrzeżeniem nr „dofinans.” Druk - W „Prasa” - Łódź. Zwirki 19. 2 2082. VII 58 8-3

Parasole

Banany kokosy pomarańcze
pomidory
tanie
dojrzałe
pełne soku
za parę sous
Starucha
sucha
ręką czarną
zrywa zawieszona
na drżących gałązkach
upadłe
w jeziora
morza
i kładzie w napięty
między gnatami
podolek
Za parę lirów
egzotyczne kwiaty
białe i czarne
cóżte i czerwone
o piersiach spiczastych
i piersiach okrągłych
wonnym i pełnym
kupujcie
Nie mamy groszy
Idziemy pod czarnymi
parasolami
nie znamy smaku słońca

Roman Łoboda

Wiersze

Dom

W tym domu
drzewa są zielone,
o liściach kryształowych
i piaski ultrafioletowe
Na wydnie białej
śpiewającej

osnuci dniem i dojrzewaniem
wznosimy myśli prostokątne
i operamy je o organie
I zamykamy wymiarami
w tym domu wiecznie
przeźroczystym



Sruba

Spaja
spiralami
spina
serpentyną
kola
coraz to nowe
w zwoje
warstwy
spiętrzenia
w coraz to dalsze
skrzywienia
schody ruchome
nie kończące się
horyzonty
jedne nad drugimi
jedne nad drugimi
balkony
ogrody wiszące
morza spiralne
bloki powietrza
i stoje światła
coraz to dalsze
dalsze skręty i kola
stopnie nieskończoności
Na każdym z nich
na każdym
inna śmierć

maj, 1958 r.

paleta

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego
pod redakcją HENRYKA ANDERSA

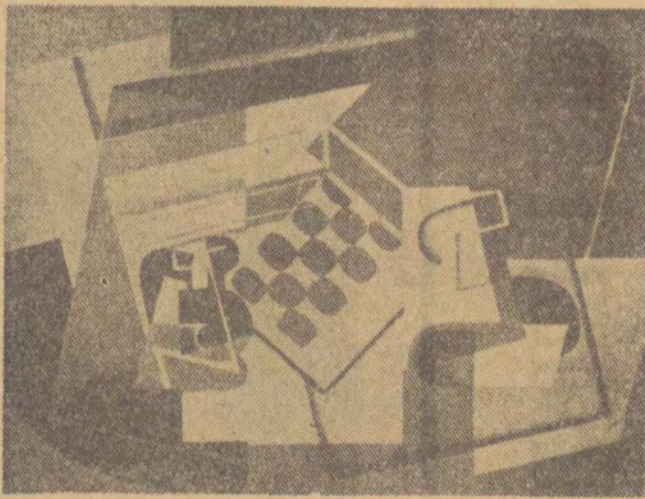
KUBIZM

Dokończenie z poprzedniego numeru

„Lecz inna przygoda była jeszcze piękniejsza”. — cytował często Picasso owe motto z „Tysiąca i jednej nocy”. „Zmysły deformują a umysł kształtuje” — powiedział kiedyś Braque.

Artysta o temperamencie odkrywczym nie lubi eksploatować własnych ani czyichś osiągnięć, gdy rozwiąże jakiś problem, porzuca go natychmiast i szuka nowego.

Doprowadziwszy do końca analizę przedmiotu, rozbiwający go na podstawowe elementy, jakby „czynniki pierwsze”. — kubiści przystąpili do organizowania z owych fragmentów nowych całości, do kształtowania własnej wizji świata. Nie chodziło im przy tym wcale o naśladowanie widzialnej rzeczywistości, o tak zwaną iluzję przedstawieniową. Celem ich było tworzenie dzieł będących no-



J. Gris — Martwa natura z szachownicą.

wą rzeczywistością, rzeczywistością, w której nie mają zastosowania normalne ziemskie prawa, a wyłącznie prawa artystyczne.

Oczywiście kontaktu ze światem widzialnym całkowicie nie zerwali, posługiwali

że obraz jest piaską powierzchnią, a więc nie ma sensu imitować farbami trójwymiarowej rzeczywistości. Wzięli swoje budowali w jednej płaszczyźnie, dbając przede wszystkim o formalną doskonałość dzieła, o czytelność

się przecież fragmentami przedmiotów. Ale owe fragmenty zmieniły się po prostu w „znaki” plastyczne, jakby napomnienia o świecie, jakby aluzje. Zestawiając — zgodnie z własną tylko wolą i fantazją twórczą, a więc dowolnie ale świadomie — owe „znaki”, niby słowa i niedokończone, niedopowiedziane do końca urywki zdań, posługując się nimi jak poeci częścią, tworzyli obrazy, których odpowiednikiem w literaturze byłaby raczej poezja liryczna, niż proza opisowa.

Wyszli ze starego założenia,

trochę się mniej, liczyli głównie na wyrobionego odbiorcę, który potrafi rozszyfrować treść.

Takie były dążenia drugiej fazy kubizmu zwanej zwykle kubizmem syntetycznym a czasami plaskim. W realizacji, dla pełnego wypowiedzenia myśli nie zawsze wystarczało artystom namalowanie przedmiotu lub jego części. Posługiwano się więc chętnie „znakami” innego typu: domalowano litery i całe słowa, a niekiedy naklejano na płótnie gotowe elementy — kawałki papieru, skrawki gazet. Były to wkomponowane w obraz aluzje o świecie zewnętrznym.

Była jednak możliwość innego rodzaju syntezy. Z owych, wspomnianych już „czynników pierwszych” można było złożyć nowy przedmiot z wyglądu niezupełnie podobny do pierwotnego, ale tym silniej podkreślający pewne jego cechy zasadnicze. Na przykład z elementów budowy człowieka można było złożyć postać ludzką, która nie byłaby portretem, lecz wykazywała jakies istotne pierwiastki duchowe pierwotnego. Czasami zresztą wystarczało pokazanie tego, co się wie o człowieku, a wie się, jak wiadomo, więcej niż widzi. Kubiści posługiwali się chętnie tak zwaną perspektywą okólną — obchodzili nie, jako bryłę dokoła, w realizacji pokazywali równocześnie postać z frontu i z profilu. Tak powstały owe dziwne, niepokojące publiczność obrazy. Ale nie chodziło tu o deformację świata. Było to, jak już podkreślałem, formowanie nowej rzeczywistości,



Mario Lanza śpiewa na Capri a Natalia jest tajnym agentem

Nowy film zachodnio-niemiecki o banalnej fabule i równie oryginalnym tytule „Serena i wielka miłość” — zasługuje na uwagę właściwie tylko z powodu głównego odwołania a mianowicie Mario Lanza. Ktoż jest nosicielem tego nazwiska? Otóż Mario Lanza jest jednym z najlepszych tenorów starszej generacji. Od kilku lat krytycy muzyczni przewidywali zmiękczenie kariery śpiewacza słynnego tenora. Film jest pomoc do wodem przeciwnym tym opiniom. Mario Lanza udowodnił, że znajduje się nadal w pełnej formie artystycznej. Śpiewa on serenade, arie z oper Verdiego, Mozarta i Leoncavalla. Trzeba dodać również, że Mario Lanza znany jest nie tylko ze swego głosu, ale również... z licznych głosnych skandalów w zachodnim świecie.

Filmowymi partnerkami amerykańskiego tenora są dwie urocze panie: słynna gwiazda z Hollywood — aktorka i piosenkarka Zsa-Zsa Gabor i najmłodszą obecnie gwiazdka zachodniomiemiecka Komu? Schneider. Roman śpiewaka i młodej Niemki przebiegającej na rekonwalescencji na wyspie Capri po nieudanej operacji przywrócenia słuchu, oraz rywalizacji drugiej, starszej, ale za to bardziej doświadczonej kobiety — składają się na „intrygującą” fabułę filmu.

Za to z Paryża nadeszły wieści, które zainteresują wielbicieli jasnowłosej Martin Carroll, bardzo u nas popularnej dzięki licznym jej filmom, z których ostatni „Natalia” był jeszcze niedawno wyświetlany w tożsakiach kinach. Otóż reżyser Henri Decoin postanowił nakręcić film o dalszych losach uroczej i sprytniej Natalii. Nowy film nosi tytuł „Natalia tajnym agentem”. I w tym obrazie uroczym modelką jest bohaterką nieprawdopodobnych historii, pełnych awantur o dyskawicznych tempie akcji i bardzo intrygujących sytuacjach. Oprócz Martin Carroll w filmie Decoina grają: Dario Moreno, Jacques Bertier, Andre Versini, Danny Saval i inni. Autorem scenariusza i dialogów jest Henri Jeanson.

ALEKSANDER NIESZIAŁEK



Reżyser Janusz Nasfeter. W głębi operator filmu „Kolorowe pociągi” — Bogusław Lembuch.



Zróżn. Bodakowska w filmie „Kolorowe pociągi”.

Co gwiazdy robią latem?

- 1) Gina Lollobrigida będzie kreć film reżyserowany przez Johna Sturgesa. Rzecznik nosi tytuł „Nigdy za mało”. Partnerem Giny będzie Frank Sinatra. Plenery przewidziane są na Cejlonie i w Burmie.
- 2) Doris Day — wykonawczyni popularnej u nas — „Que sera, sera...” kręci nowy film razem z debiutującym w tym filmie Rock Hudsonem.
- 3) Michele Morgan będzie grała w filmie „Zadziwająca Julia”. Reżyseruje Norbert Curbone.
- 4) Debbie Reynolds gra razem z Bing Crosby w amerykańskim filmie pt. „Say one for me”.
- 5) Otto Preminger filmowy adaptator powieści Saganki „Wielki smutek”, twórcą filmowej wersji „Pamiętnika Anny Frank” — realizuje nowy film pt. „Śledztwo po śmierci”. Muzykę do tego filmu komponuje Duke Ellington, słynny jazzmann, który gra w tym filmie wraz z dwoma członkami swojej orkiestry.
- 6) Laurence Olivier. Naszym czytelnikom nie trzeba wyjaśniać kto jest nosicielem tego imienia i nazwiska. Dodajemy tylko, że Laurence Olivier gra w filmie pt. „Spartakus”, odczytując rolę tytułową.
- 7) Brigitte Bardot po głównej roli w „Paryżanie” ma już za sobą główną rolę w „Pamiętniku” w filmie francuskim pt. „Babette wyrusza na wojnę”. Partnerem jej jest Jacques Charrier — mąż popularnej Bardotki młody aktor francuski. Ciekawi jestestwo, jak też Brigitte z tej wojny wyjdzie. W każdym bądź razie w plaskim, bołowym helmie wygląda pomoc — jak... kockak nakryty miśka.

FILMY DZIECIĘCE I INNE

Rozmawiamy z P. Januszem Nasfeterem, autorem filmu pt. „Małe dramaty”. („Małe dramaty” reprezentowały jak wiadomo Polkę na niedawnym festiwalu w Cannes). Rozmowa — początkowo — ma miejsce w scenarii dobrze znanej z rozlicznych reportażów z Wytwórni Filmów Fabularnych: w biurze, później przenosi się do pokoju reżysera P. Nasfetera.

Mł: Ma Pan na swoim koncie twórczym sporo losów filmów o tematyce dziecięcej: „Małe dramaty”, pierwszy Peński pełnomocny film fabularny także poświęcony jest dzieciom. Czy można zatem mówić o zagadnieniu pewnego wyspecjalizowania się reżysera w zakresie określonej problematyki?

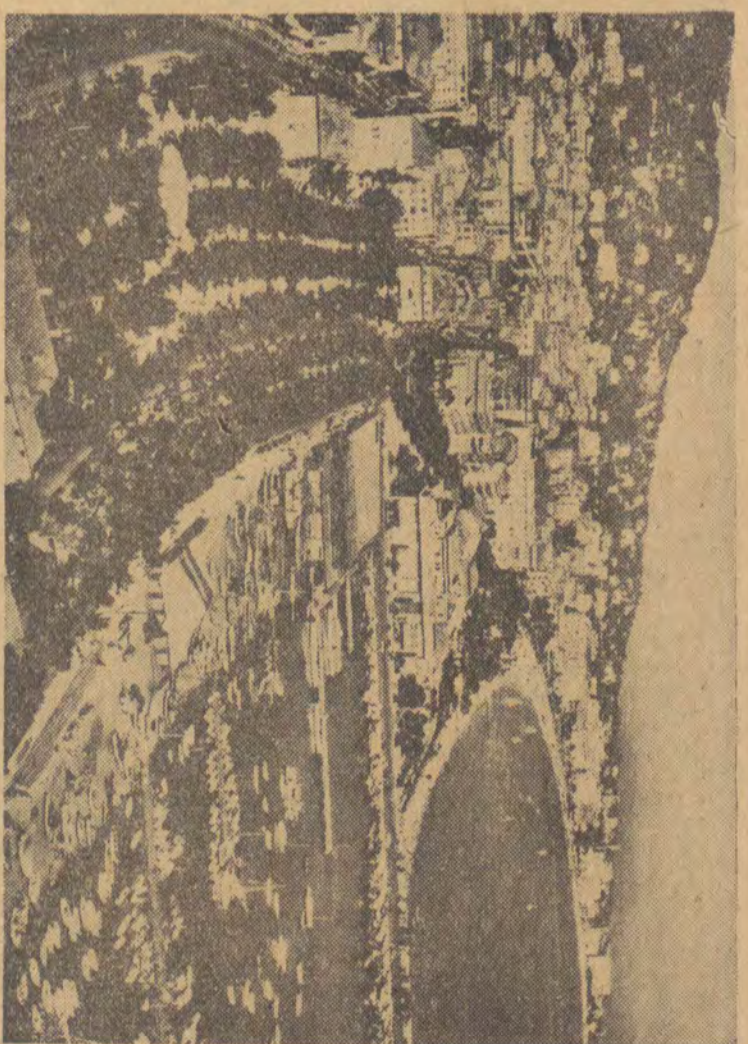
Odpowiedź: Sądzę, że wchodzi tu w grę raczej osobiste predyspozycje psychologiczne reżysera. Nie chciałbym jednak zbyt szeroko wypowiadać się na ten temat. Nadmieniam tylko, że „Małe dramaty” to zdaje się — nie klasyczny film „dziecięcy”. Stratem znaną, ukryte w tym filmie dramaty dotyczące. Natomiast w filmie, który robicie obecnie, pokazane zostają jedynie dzieci i ich sprawy. Przede wszystkim od strony kon-

taktów z dorosłymi. Jest to skarbnica wielu problemów, których jeden film rozwiązać, ani nawet zaznaczyć nie zdoła. Będzie np. w „Kolorowych pociągach”, historia Jadki, dziewczynki niesmiałej, zawziętej, skazanej na szczyście pogłębiające kompleksy. Chciałbym, by film zdołał nie tylko wzruszać i bawić, lecz by na swój sposób potrafił także pomóc dorosłym w zrozumieniu świata dzieci.

Słowem żęda Pan od swego dzieła, by spełniło konkretne zadanie o charakterze poza rozrywkowym. Czy ma to jakiś określony związek z wyznaczoną przez Pana teorią sensu społecznego i artystycznego sztuki filmowej?

Sądzę. Każdy ma swoje prywatne poglądy. Dla mnie film — to nie tylko ciąg wrażeń związanych z ruchem, siad pewna moja awersja do kładzenia naciśku jedynie na sprawę powierzonej sensacji. Zabrzmiał to bałanie, lecz innej definicji nie ma: sens filmu sprawadza się do podawania prawd o człowieku. To zarzekać wspólna cecha kina z innymi dziedzinami sztuki. Operowanie wzruszeniami — także.

Kładzie więc Pan mniejszy nacisk na po-



Cannes z lotu ptaka

Pocztówka z Paryża O CINERAMIE I BROSZKACH

W paryskiej Cineramie największe są miejsca dające pełnię efektu. A więc nie biskie, skąd widak szwy łączące trzy kawałki obrzu i nie najdalej, bo stamiąd ekran jest tylko ekranem, poszerzonym jedynie i napuszczonym pretenzyjnymi kadrami. Nim się jednak zacznie cineramowa projekcja — „idzie” wstęp, nakręcony w formacie znaczącego pocztowego. Wstęp tradycyjny a konwencjonalny. Nudny komentarz, pokazywany raz w zbliżeniu a raz w planie amerykańskim — wyraża sens Cineramy i głosi czar przyznoszący przez nią uroków. I gdy już nie ma nic do powiedzenia kłania się grzeczne i robi cyrkowy gest dłonią. Wtedy kurtyna okalająca dotąd ekran rozsława się i pojawiają się pierwsze, istotne b. szerokie obrazy. Ale już na wstępie popiechnono małą

stygizowanie się efektem zewnętrznym, prawda? Można to i tak określić. Postaramy się jednak wprowadzić rozróżnienie. Weźmy z jednej strony publicystykę neorealizmu, publicystykę rodzaju „Noxy Cabirri”, a z drugiej neoromantyzm poetycki — afirmowane miłości i uczuć. Chocby w „La Stradzie” tego samego Felliniego, względnie w filmach francuskich, które tak nam się podobały w Cannes. Pojawia się zagadnienie tęsknoty do wrzuczeń. Jest to forma zapotrzebowania społecznego i zarazem kate wierzyc w film. W jego sens i rolę, jaką spełnić może w najbliższych latach. Wiąże się to w jakimś stopniu z agresywnością. Przynajmniej w stosunku do tematów o charakterze „literackim”, niesłusznie unikanych z racji „mefilmowości”, która jak wiadomo jest połączeniem ogólnie wzięte przywilejowane z Cannes? Targowisko filmów i gwiazd, przeglad mody i koturli, gusłów i sympatii ideowo-artystycznych. Niemniej poziom festiwalu był wysoki. Dziełki filmom, o których prasa polska napisała już wszystko.

Kazimierz Odakowski

